Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

ROK X. Warszawa, 27 czerwca 1954 r. Nr (448 26

W numerze:

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ: Sprawa, która nas wszystkich łączy
IZABELLA KOPEĆ: O zbudzonym olbrzymie i zwodniczych snach
ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI: Związek Pomorza z Polską
ZDZISŁAW UMIŃSKI: Powroty
JACEK ŁUKASIEWICZ: Droga do ludzi
EDMUND MISIOŁEK: Klasowy egoizm i jego ofiara

ZYGMUNT LICHNIAK

RYS. JULIAN ŻEBROWSKI

POZJEŹDZIE

Zygmunt Lichniak

Zjazd literatów, który toczył swe obrady w Warszawie od dnia 8 do 11 czerwca 1954 r., był zjazdem o specjalnym znaczeniu. Jego odrębność, nadająca mu cechy szczególnie ważnego spotkania aktywu pisarskiego, wynikła z kilku ściśle określonych historycznie przyczyn..

WYZNACZNIKI HISTORYCZNE

Po pierwsze: Zjazd ten miał objąć w swoich szczegółowych rozważaniach sprawozdawczych i analityczno-krytycznych okres aż czterech lat. Przedostatnie obrady ogólnopolskie toczyły się w roku 1950. A ponieważ okres tego czterolecia był okresem wzmożonej i w wielu wypadkach efektywnej pracy pisarzy realizmu socjalistycznego i twórców z nimi sojuszniczo współdziałających — materiał wnioskotwórczy zapowiadał konkluzje ważkie i zobowiązywał do żywego uczestnictwa w ich formułowaniu.

Po drugie: Zjazd odbywał się w roku X-lecia Polski Ludowej. Poszerzało to jego ambicje do próby zbilansowania nagromadzonych w tym X-leciu doświadczeń. Nakładało na uczestników obowiązek retrospektywnego zanalizowania dróg rozwojowych naszej literatury. Ukazywało możliwość pogłębienia rozważań i konkluzji zjazdowych syntetycznym widzeniem tego kompleksu zjawisk kulturalnych i literackich, jaki zawarł się w ramach twórczego X-lecia, w jego osiągnięciach i błędach pisarskich. Retrospektywna, bilansowa funkcja zjazdu zapowiadała wzmożenie jego roli instruktywnej, roli drogowskazu.

Po trzecie: Zjazd odbywał się w nowej, szczególnie zobowiązującej do twórczych przemyśleń sytuacji, która przed aktywem pisarskim otwiera wyraźniejsze perspektywy, stawia zaszczytniejsze zadania, szkicuje głębsze problemy.

Są to perspektywy, zadania, problemy zarówno w skali międzynarodowej jak i krajowej, co zresztą łączy się z sobą organicznie w sposób dla wszystkich zrozumiały.

Sytuacja międzynarodowa, cechująca się wzmożeniem ważności ruchu pokoju, jego ciągłym umacnianiem i poszerzaniem, jego wielo światopoglądową solidarnością, nakłada na polski aktyw pisarski obowiązek precyzyjniejszego, skuteczniejszego i powszechniejszego zaktywizowania świadomości społecznej i politycznej twórców w obronie zagrożonej cywilizacji, kultury, ludzkości, w akcji krzepienia obozu obrońców pokoju, w akcji demaskowania obozu wojny.

Sytuację krajową, wewnętrznopolską, ściśle — jak wszystkim wiadomo — uwarunkowaną i w pewnym stopniu warunkującą także stosunki międzynarodowe — cechuje wzmożenie procesów jednoczących naród we wspólnym wysiłku budowania swego dobrobytu, swojej mocy gospodarczej i kulturalnej oraz pokojowej, swojej socjalistycznej przyszłości. Procesy te znalazły wyraz w uchwałach IX Plenum i II Zjazdu PZPR oraz w twórczej, konsekwentnej realizacji tych uchwał poprzez dokumentowaną ciągle nowymi osiągnięciami pracę całego narodu.

Próbą przetłumaczenia tych procesów na język zjawisk kulturotwórczych była kwietniowa XI sesja Rady Kultury i Sztuki. Ukonkretnieniem jej wytycznych miały być, chociaż nie zawsze były, obrady plenarne poszczególnych związków twórczych: kompozytorów, ludzi teatru, dziennikarzy, i wreszcie w dniach od 8 do 11 czerwca obrady najbardziej aktywnego związku literatów polskich.

ZAPISKI KRONIKARZA

Obrady literatów, widziane w świetle scharakteryzowanych powyżej wyznaczników historycznych, przygotowane zostały przez organizatorów i potraktowane przez większość uczestników ze zrozumieniem szczególnej ważności konkluzji, ku którym prowadzić powinny.

Dwa referaty zasadnicze: Leona Kruczkowskiego „Organizacja pisarstwa polskiego w walce o realizm socjalistyczny" i Kazimierza Brandysa „Uwagi pisarza o sytuacji w literaturze" jak i inauguracyjne przemówienie sekretarza KC PZPR Edwarda Ochaba stanowiły merytoryczną bazę wyjściową dla trzydniowej dyskusji. Nie ma potrzeby w tym sprawozdaniu przedstawiać treści twórczych zagajeń dyskusyjnych, gdyż straciłyby one wiele w lapidarnym ich syntetyzowaniu, a w całości czy przynajmniej dostatecznych fragmentach znane są z publikacji prasowej (przede wszystkim w „Nowej Kulturze", nr. 24 (220) z dnia 13 czerwca br.). Stwierdzić tu tylko warto, że — chociaż poszczególne analizy osłabione były w tych inauguracyjnych wystąpieniach trochę ugrzecznioną zasadą anonimowości i ogólnikowości — zarówno referat Leona Kruczkowskiego jak i Kazimierza Brandysa ustalał wyraziste proporcje i akcenty nowej sytuacji i nowych zadań literatury, jednocześnie dokonując słusznej w zasadniczych zarysach i tendencjach oceny minionego okresu.

Dyskusja, która wypełniła prawie w całości trzy pozostałe dni zjazdu, była potwierdzeniem ważności postawionych przed uczestnikami problemów. Kilkudziesięciu mówców, z których nie jeden realizował własne ambicje wygłoszenia koreferatu lub nowego referatu, chociaż nie zawsze potrafiło utrzymać swoje wystąpienia na poziomie ogólnej i w granicach właściwie rozumianej troski o poszerzenie i pogłębienie aktywności ideowo-artystycznej pisarstwa polskiego, zgromadziło jednak bogaty materiał wnioskotwórczy, przydatny dla skutecznego wyjaśnienia nieporozumień, zwalczenia błędów i ustalenia linii szerokiego, narodowego frontu polskiej literatury współczesnej. Z tego materiału trzeba umieć w mądry, selektywny i twórczy sposób korzystać.

Dyskusję pisarzy polskich wzbogacili zagraniczni koledzy po piórze. Przyjechali z ZSRR, Czechosłowacji, NRD i Niemiec Zachodnich, ze Szwecji i Francji, Rumunii i Bułgarii, Węgier i Turcji, przysłali listy ze Stanów Zjednoczonych, Argentyny i Brazylii, Chin Ludowych i Korei, aby publicznie poświadczyć wspólnotę pisarzy całego świata, zjednoczonych ideą wolności, pokoju i postępu.

Przemówienia delegatów zagranicznych ukazywały rosnący autorytet współczesnej literatury polskiej w skali światowej, ukazując tym samym potrzebę ciągłej walki o jej poziom ideowo-artystyczny, o jej rzetelność i twórcze ambicje. Słuchając Hikmeta, Dmiterki, Jana Kostry, Dana Desliu, Iwana Ruż, Ernöga Urbana, Waltera Kaisera, czy Axela Liffnera, którzy mówili o tłumaczeniach polskich pisarzy na ukraiński, czeski, rumuński, bułgarski, węgierski, niemiecki i szwedzki, musieli uczestnicy zjazdu widzieć nie tylko pogłębiającą się wspólnotę postępowego świata pisarskiego, lecz także konieczność wzmożenia własnych wysiłków, własnej dyscypliny ideowej i warsztatowej, własnej troski o dojrzały kształt dzieła, czytanego już i obserwowanego nie tylko w ojczyźnie, lecz i poza jej granicami.

Wśród wystąpień naszych przyjaciół z innych krajów nie zabrakło i takich, których wartość polegała nie tylko na serdecznym podkreśleniu związków łączących nasze narody, czy przekazaniu informacji o zacieśniającej się i ożywiającej się wymianie kulturalnej, lecz także na merytorycznym, ważkim wkładzie przemyśleń, wysnutych z doświadczeń literatur, które reprezentowali. Do takich wystąpień należy zaliczyć obszerny i ciekawy referat Konstantego Simonowa,

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

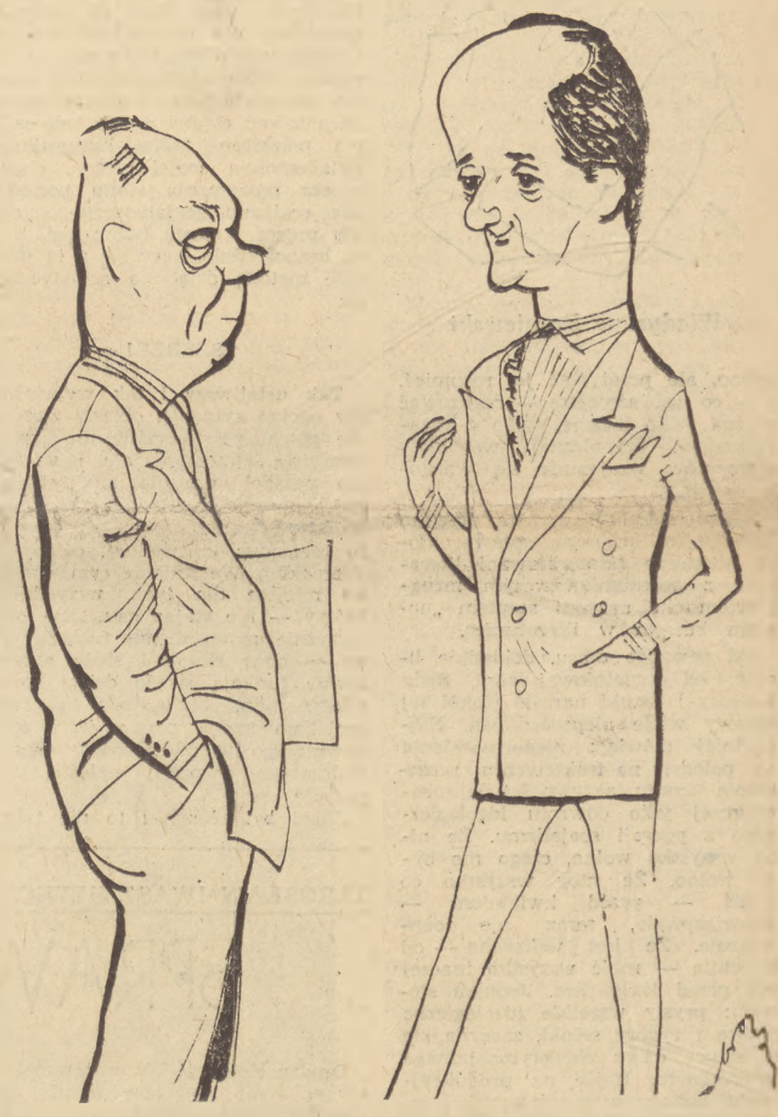

Leon Kruczkowski i Kazimierz Brandys

DOMINIK HORODYŃSKI

PRZEŁOM WE FRANCJI

NARÓD francuski ma miliony przyjaciół na całym świecie. Wszyscy ci przyjaciele Francji z żalem obserwowali głęboki kryzys polityczny, który przez szereg lat obezwładniał ten wielki naród. Brak prawdziwego głosu Francji ciążył negatywnie na stosunkach międzynarodowych i szczególnie dotkliwie dał się odczuć na dwóch ostatnich doniosłych konferencjach: w Berlinie nad zagadnieniem niemieckim i w Genewie nad problemem Indochin. W ostatnich miesiącach rządów ekipy Laniel — Bidault oficjalna polityka francuska tak jaskrawo sprzeczna była z interesami Francji i z wolą większości Francuzów, że wszyscy rozumieli, iż stan ten nie może przeciągać się w nieskończoność. Mimo to jednak — jak pamiętamy — Laniel otrzymał w ciągu maja dwukrotnie votum zaufania i Bidault, który przywykł do bezkarności, zjawił się przed dziesięcioma dniami na trzecią z kolei debatę indochińską parlamentu, pewny siebie i arogancki, przekonany, że znów wykręci się sianem i będzie mógł zerwać konferencję genewską. Dziesięć dni temu wydawało się, nawet tym, którzy dobrze znają stosunki francuskie, że nie nadszedł jeszcze decydujący kryzys w ciężkiej chorobie politycznego życia Francji. Dziś można mieć nadzieję, że była to choroba ozdrowieńcza. Nieszczęsna „dyktatura o głowie wołu", jak rządy panów Laniela, Bidault, Plevena i terrorysty Matinau-Deplat nazwał Mauriac, należy już do przeszłości. We Francji nastąpił zwrot. Władza znalazła się w rękach nowych ludzi.

Na czym polega znaczenie tego zwrotu? Nie polega on na zmianie rządzącej klasy społecznej. Francja nie poszła — jak to się mówi w potocznym języku politycznym — na „lewo". W nowym rządzie premiera Mendes-France nie ma komunistów, nie ma socjalistów, nie zasiadają w nim nawet postępowi działacze dalecy od komunizmu, tacy jak deputowani Vallon, Denis czy Pierre Cot. Trzon rządu, obok centrowych radykałów, uczniów Heriota, stanowią gaulliści, ludzie prawicy.

A jednak tę zmianę rządu wolno oceniać jako przełom, jako zdrowy zwrot do sił autentycznie francuskich, umożliwiający podjęcie polityki narodowej. I gdy Mendes-France otrzymał niezwykłą ilością głosów inwestyturę, przyjaciele Francji różnych poglądów odetchnęli: nareszcie. Dlaczego taka była reakcja wielu ludzi dalekich od poglądów społecznych nowego rządu francuskiego, dlaczego francuska partia komunistyczna głosowała za inwestyturą dla Mendes-France?

Bo we wszystkich t.zw. zachodnich krajach są różne grupy burżuazji, m. in. jest burżuazja kosmopolityczna, obca jakimkolwiek interesom narodowym i w naszej epoce całkowicie podporządkowana wojennej polityce Stanów Zjednoczonych. I jest burżuazja narodowa, związana z historią i interesami własnego kraju, troszcząca się o jego przyszłość i przeciwstawiająca się planom wojennym.

Od szeregu lat Francją rządziła burżuazja kosmopolityczna, której Laniel i Bidault stali się niesławnymi symbolami. Jej polityka polegała na podporządkowaniu ekonomicznym i politycznym Francji Stanom Zjednoczonym, na forsowaniu Europejskiej Wspólnoty Obronnej i ograniczaniu roli Francji w Europie na rzecz Niemiec Adenauera, na kolonializmie i uporczywym prowadzeniu brudnej wojny w Indochinach z zamiarem jej umiędzynarodowienia, na polityce gospodarczej i społecznej rujnującej masy pracujące Francji. Grupa Laniel — Bidault stosowała najbardziej przewrotne metody, by oszukać opinię publiczną Francji. Ich przykładem może być obłudne żonglowanie przez Bidault w Genewie losem rannych Francuzów, by tą drogą zatruć atmosferę konferencji. Były minister spraw zagranicznych Francji chwytał się najbardziej cynicznych środków, by za każdą cenę przeciwstawić się najważniejszej dziś sprawie nie tylko dla Francji ale dla wszystkich ludzi: odprężeniu międzynarodowemu.

Klęska za klęską w Indochinach, coraz większe zagrożenie ze strony Niemiec, niemoc polityczna i gospodarcza kraju, demoralizacja życia politycznego Francji, sprowadzonej na pozycje sojusznika Li-syn-mana, Bao-Daia, Adenauera i Franco, najczarniejszej reakcji światowej — oto bilans tej polityki.

Szczególnie niechlubną rolę na tej drodze ruiny odegrała MRP, francuska chrześcijańska demokracja. I dużą wymowę ma fakt, że obok 49 skrajnych reakcjonistów, którzy głosowali przeciwko Mendes-France'owi, MRP była jedyną partią wstrzymującą się od głosu. Historia kiedyś wyjaśni przyczyny, dla których chadecje we Francji, w Belgii i w innych krajach zachodniej Europy od dziesięciu lat uzależniały swój udział w rządach od dysponowania teką ministra spraw zagranicznych. Człowiek prostoduszny mógł by sądzić, że dla partii chrześcijańskiej znacznie ważniejszą sprawą powinno być np. ministerstwo oświaty. Chrześcijańscy demokraci byli innego zdania i ich ministrowie przez dziesięć już blisko lat kierowali polityką zagraniczną większości państw zachodniej Europy i stali się promotorami koncepcji europejskiej á la Karol Wielki czyli podziału naszego kontynentu na wrogie sobie bloki. Bidault stał się ponadto głównym ideologiem „krucjaty", w Berlinie i w Genewie wygłosił w tym duchu kilkadziesiąt przemówień w niezwykle przewrotny sposób nadużywając haseł chrześcijańskich. Jeden tylko kardynał Spellmann mógł z nim konkurować.

W nowym rządzie francuskim po raz pierwszy nie ma upełnomocnionych przedstawicieli MRP. Nie ma w nim specjalistów z amerykańskiej grupy Guy Mollet. Reprezentuje on prawicę narodowej burżuazji. Ale trudno sobie wyobrazić, by kiedykolwiek Mendes-France kontynuował zakłamaną frazeologię „krzyżowca" Bidault, czy też, by nowy minister spraw wewnętrznych, członek ruchu oporu, Mitterand naśladował swego poprzednika Martinau-Deplat, człowieka o duszy policjanta i prowokatora.

Sytuacja, w której nowy rząd obejmuje władzę, choć pozornie dla Francji trudna, stwarza mu w istocie rzeczy ogromne, historyczne szanse. Wystarczy, jeśli zwrócimy dziś uwagę na dwa zagadnienia: Indochin i roli Francji w Europie.

Istnieją wszelkie możliwości, by konferencja genewska zakończyła ośmioletnią wojnę indochińską. Uczciwy i rozumny rząd francuski może zapewnić przyjazne stosunki między Francją i naprawdę niepodległymi narodami Indochin i utrzymać jedność unii francuskiej. Francja, uwolniona od ciężaru wojny, będzie mogła podjąć samodzielną politykę w Europie. Przekreślenie raz na zawsze złowrogiej koncepcji podziału Europy na wrogie sobie bloki militarne i decydujące przyczynienie się do zapewnienia naszemu staremu kontynentowi zbiorowego bezpieczeństwa i prawdziwej jedności leży całkowicie w możliwościach nowego rządu Francji. Tym samym Francja spychana dotychczas do roli mocarstwa drugorzędnego może z powrotem odzyskać godne siebie miejsce w świecie i stać się ważnym czynnikiem odprężenia międzynarodowego, którego skutki błogosławione być muszą dla wszystkich narodów.

Jakże liczni we wszystkich krajach są ludzie, którzy kochają naród francuski, kulturę francuską i którzy dziś, gdy nowy rząd obejmuje kierownictwo polityką Francji, życzą mu, by poszedł tą drogą i by odniósł na niej jak największe sukcesy.

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

przekazujący uczestnikom zjazdu żniwo ostatnich dyskusji literackich, kontynuowanych i rozwijanych w ZSRR przed II Wszechzwiązkowym Zjazdem pisarzy radzieckich. Takim też wystąpieniem była świetna mowa Andre Wurmsera, dzielącego się doświadczeniami postępowej literatury francuskiej. Tak też należy ocenić przemówienie przybyłego na zjazd z Niemiec Zachodnich Johanna Trulowa, który ukazywał możność przenikania nauki literatur postępowych do świadomości zachodnioniemieckich pisarzy, przyjaznych niejednokrotnie obozowi pokoju.

Kronikarz zjazdu niemało musiałby się natrudzić, gdyby chciał dać wierny, wyczerpujący opis jego obrad.

Ważniejsza od opisu obrad zjazdowych jest ocena najistotniejszych ich treści i znaczenia. O taką ocenę wszyscy musimy się pokusić.

NIEPOROZUMIENIA „KLIMATYCZNE"

Pomińmy w tej ocenie sprawy wtórne, ograniczmy się do spraw zasadniczych. Sprowadzić je można do trzech głównych problemów. Nazwijmy je umownie: problemem nowego klimatu kulturalnego, problemem poszerzenia frontu ideowo-artystycznego i problemem uwyraźnienia perspektyw życia literackiego w Polsce Ludowej. Oczywiście, żaden z tych problemów nie istnieje oddzielnie, każdy warunkuje każdy, wszystkie stanowią jedną całość polityki kulturalnej. Odrębne ich traktowanie jest tylko zabiegiem kompozycyjnym, a nie klasyfikacją czy autonomizacją merytoryczną. Trzeba o tych problemach pisać z konieczności rozłącznie, o-

Władysław Broniewski

sobno, ale przeżywać je, rozumieć, i — co najważniejsze — realizować można tylko łącznie, tylko z uszanowaniem organicznej wspólnoty elementów wzajemnie się warunkujących.

Na zjeździe sprawa nowego klimatu kulturalnego, sprawa, którą niektórzy zainteresowani literaturą z porozumiewawczym mrugnięciem oka nazwali szeptem „nowym kursem w literaturze".

Od pewnego czasu, dokładnie licząc: od kwietniowej sesji Rady Kultury i Sztuki narosło wokół tej sprawy wiele nieporozumień. Najogólniej mówiąc: nieporozumienia te polegały na traktowaniu poszerzenia frontu aktywności kulturotwórczej jako odwrotu ideologicznego z pozycji socjalizmu. Że niby wszystko wolno, czego nie było wolno. Że niby wszystko co ongiś — przed kwietniem — obowiązywało, teraz nie obowiązuje. Że jest wskazane — od kwietnia — robić wszystko inaczej niż przed kwietniem. Jednym słowem: prysły wszelkie ideologiczne prawa i rygory sztuki, zaczyna się w sztuce okres eksperymentalnego interregnum. Hejże na produkcyjniaki, bohaterów pozytywnych i temat współczesny! Niech żyje nieskrępowana żadną ideologią wolność warsztatu twórczego! Naprzód formaliści! Precz z wydźwiękowcami! **Obiit Cato, natus est Petronius...**

Ta błędna interpretacja poszerzenia narodowego frontu polityki kulturalnej, interpretacja kolportowana zbyt gorliwie przez pokątnych Petroniuszów bardzo zaszkodziła słusznej sprawie usunięcia wielu błędów, które można było i trzeba było usuwać, a z usuwania których pokątni Petroniusze — chcąc niechcąc — robili zasadę naczelną, zasadę wyolbrzymioną niemal do granic kompleksu. Prowadziło to do przerostu krytycyzmu, do rewizjonizmu pojętego w sposób nieumiarkowany, wywracający wszystko na nice. Taka atmosfera, atmosfera niepotrzebnie nerwowego podniecenia wywołała u mniej opanowanych i zrównoważonych — kontrreakcję, sprowadzającą się do równie błędnego przekonania, że nic nie trzeba zmieniać, że z zapowiedzi zmian trzeba się wycofać, że kwietniowe sygnały potraktować tylko jako próbę temperamentów publicystycznych i dojrzałości politycznej. W sumie doprowadziło to wszystko do ożywionego wymieniania anegdot, do obustronnych przejaskrawień, do zatracenia jasnego sądu o merytorycznym sensie koniecznej, konsekwentnie wynikającej z rozwoju wydarzeń zmiany.

Wulgaryzując trochę można by określić tę niewłaściwą aurę przedzjazdową pytaniami pokątnych Petroniuszów i rozsrożonych Catonów. Petroniusze pytali idąc na zjazd: „Potwierdzą czy odwołają? Zacisną czy rozluźnią?". Surowe Catony mruczały: „Już my ich przytrzymamy. Już my im pokażemy nie otwarte okno, lecz otwarte drzwi". Trochę to prymitywnie i żartobliwie powiedziane, ale tak mniej więcej było.

Zasadniczym osiągnięciem Zjazdu literatów polskich jest wyjaśnienie tej sytuacji, która powodowała zamęt w wielu głowach. Do wyjaśnienia tej sytuacji uczestnicy zjazdu doszli poprzez dramatyczne nieraz, lecz w ostatecznych konsekwencjach twórcze spięcia. Nie zabrakło na trybunie zjazdowej mówców, którzy — jak np. wybitny poeta Julian Przyboś — zbyt gwałtownie przeżyli słuszny w zasadniczych tendencjach proces rewizjonizmu kulturalnego, co doprowadziło do niezbyt słusznego zmajoryzowania oceny elementami wyłącznie krytycznymi, do zaostrzenia krytyki posuniętej tak daleko, że negującej niemal sens dokonanej w minionym X-leciu przemiany polskiego życia kulturalnego. Z drugiej strony próby słusznego w intencjach przywrócenia właściwych proporcji oceny manifestowały się — jak np. w wystąpieniu bojowego poety Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego — w nadmiernie uproszczonych kontrargumentach, niepotrzebnie zaostrzających dyskusję do oskarżeń. Mimo tych przejaskrawień zasadnicza wymiana myśli i poglądów doprowadziła do ustalenia rozsądnych proporcji i wyraźniejszych perspektyw aktualnej sytuacji w literaturze polskiej.

Zdementowano w formie nie pozostawiającej żadnej wątpliwości fałszywą interpretację poszerzania frontu kulturotwórczego jako ideologicznego odwrotu. Obrady zjazdowe w sposób przekonywający i względnie precyzyjny określiły procesy obecnie zachodzące w życiu kulturalnym jako procesy mające na celu jak najszerszą aktywizację świadomości twórców w kierunku umacniania jedności narodowej, w kierunku pogłębiania związku między twórczością artystyczną a życiem narodu i drogami jego rozwoju, w kierunku zmobilizowania wszystkich sił kulturotwórczych dla obrony narodowego i międzynarodowego interesu obozu postępu. Jednocześnie zjazd w swoich obradach potrafił wyraźnie zaakcentować ciągły proces przepajania polskiego życia kulturalnego świadomością socjalistyczną, ciągły proces poszerzania stanu posiadania realizmu socjalistycznego, ciągły proces rozwoju twórczości, która bezpośrednio łączy się z tą właśnie metodą działania artystycznego.

SZERZEJ

Tak ustaliwszy i tak wyjaśniwszy ogólną sytuację, obrady zjazdowe potrafiły stworzyć nie tylko właściwą atmosferę, ale i właściwe perspektywy dla konkretnego, dalekiego chyba od niezobowiązujących deklaracji, poszerzenia frontu ofensywy kulturalnej, ofensywy literackiej. We froncie tym ukazano miejsce dla tych wszystkich, którzy — nie stając nawet na płaszczyźnie materializmu filozoficznego — chcą służyć i służą obiektywną funkcją swego dzieła sprawie narodu, budującego poprzez socjalizm swoją przyszłość i zdobywającego wśród narodów świata walczącego o pokój należną mu pozycję.

Zjazd był okazją i to nie tylko okazją zewnętrzną, ale, chciałoby się powiedzieć, okazją ideologiczną dla poszerzonej interpretacji współudziału ludzi różnych światopoglądów w dziele budowy sprawiedliwego ustroju; pozwolił sprezentować szersze niż do tej pory na odcinku życia kulturalnego uznawane możliwości aktywnego uczestnictwa w rewolucji socjalistycznej ludzi różniących się między sobą postawami filozoficznymi.

Dzięki temu zjazd wyjaśnił jedną z niesłusznie przemilczanych — co było winą obustronną — spraw. Chodzi o sprawę udziału katolików społecznie postępowych w polskim życiu kulturalnym, w tworzeniu nowej świadomości artystów, pisarzy i poetów, krytyków i publicystów. Naprawiono błąd lekceważenia czy partykularnego traktowania wkładu współczesnej kulturalnej twórczości katolickiej w ogólny dorobek narodowy.

W poprzednim numerze naszego pisma opublikowaliśmy przemówienie, które w dyskusji zjazdowej wyjaśniło tę sprawę z pozycji ruchu katolików społecznie postępowych w Polsce Ludowej. Nie ma powodów powtarzania w tym sprawozdaniu przedstawionych tam tez, sformułowanej tam diagnozy i wysnutych z niej wniosków. Warto jednak na tym miejscu podkreślić, że zarówno sformułowane tam tezy, jak i przedstawiona tam diagnoza, jak wreszcie wysnute z niej wnioski potraktowane zostały i przyjęte w sposób dowodzący zrozumienia dawnych błędów w tym zakresie i nowych perspektyw. Wielu mówców, omawiających problem wspólnoty obozu pokoju i postępu, problem konsolidacji sił w ramach tego obozu podkreślało z pozycji niekatolickich potrzebę uwzględnienia, konieczność respektowania współudziału i twórczego wkładu w dzieło socjalizmu i pokoju ruchu katolików społecznie postępowych. Akcenty takie zawierały się zarówno w pięknej mowie jednego z czołowych aktywistów światowego ruchu pokoju, Jarosława Iwaszkiewicza, którego przemówienie zamieszczamy obok, jak i w innych.

Podobne akcenty przebijały i w wystąpieniu Antoniego Słonimskiego i w podsumowaniu Kazimierza Brandysa. Znalazły one swój wyraz w części także skądinąd bardzo cennego wystąpienia Jerzego Putramenta.

Odnotowujemy w tym sprawozdaniu zgodność postawy, akcentując zobowiązującą tego faktu wymowę. Zobowiązującą obustronnie. Do skali tych zobowiązań i do ich, dla dobra sprawy ogólnej na pewno twórczych konsekwencji, powrócimy jeszcze.

PERSPEKTYWY

Zjazd, rozwiązując prawidłowo problem wspólnoty ludzi budujących socjalizm i broniących pokoju, problem wspólnoty twórców różniących się postawami światopoglądowymi, ale jednoczących się w dziele tworzenia nowej socjalistycznej kultury i literatury, zjazd jednocześnie nie osłabiający, lecz poszerzający i pogłębiający rozumienie pisarstwa zaangażowanego w rewolucję socjalistyczną, stworzył właściwy klimat dla rozwiązania trzeciego spośród zasadniczych problemów, który sprawozdanie to nazwało umownie problemem uwyraźnienia perspektyw życia literackiego w Polsce Ludowej.

Perspektywy te ukazują większe możliwości manifestowania się w twórczym dziele artystycznym bogatej indywidualności pisarskiej. Pisarze mogli wynieść ze zjazdu bardziej niż kiedykolwiek skrystalizowane przekonanie, że każdemu zamierzeniu twórczemu, które inspirowane jest chęcią służenia narodowi i jego interesom, towarzyczyć będzie przychylny mecenat narodu, towarzyszyć będzie zaufanie w rzetelność wysiłku ideowo-artystycznego. Obrady zjazdowe ujawniły nie tylko błędy, które w tym zakresie ciążyły nieraz boleśnie nad polityką kulturalną, ale wykazały także potencjalne możliwości usunięcia tych błędów, oczyszczenia naszego życia kulturalnego i literackiego z przerostów biurokratycznych, z zatajonych gdzieniegdzie tendencji nadmiernej sztywności ideologicznej, nadmiernego sekciarstwa. W wielu wystąpieniach — jak np. w mądrym i głębokim przemówieniu Mieczysława Jastruna — wyraźnie rysował się wzrastający stopień zaufania do tych, którzy tylko przez pomyłki własne czy urzędów stawali się administratorami kultury, komenderującymi twórczością, a w istocie mogą być opiekunami, pomocnikami, współtwórcami coraz bujniejszego rozkwitu kultury.

Perspektywy życia literackiego w Polsce Ludowej, uwyraźnione w obradach zjazdowych, nie są jednak w żadnym wypadku perspektywami — jak to jeden z referentów świetnie sformułował — „życia ułatwionego". Przeciwnie, ukazują one obok wzrostu zaufania dla twórcy, wzrost zobowiązań twórców wobec przyszłych dzieł. Nie są to zobowiązania błędnego sztywniackiego rygoryzmu, są to jednak zobowiązania poszerzonej odpowiedzialności twórcy za dzieło. W tych perspektywach „ustawiony" pisarz ma znacznie szersze możliwości indywidualnego działania, ale jednocześnie — co powinno być dla wszystkich w oczywisty sposób zrozumiałe — jest bardziej zobowiązany do przekonania swoim dziełem o umiejętności korzystania z zagwarantowanych mu praw.

W obradach zjazdowych — obok głosów, które może zbyt jednostronnie omawiały sprawę przywilejów i praw pisarskich — nie zabrakło głosów twórców, którzy umieli w zobowiązujący sposób podkreślić wagę zadań, jakie twórcy wyznacza jego coraz zaszczytniejsza, coraz bardziej respektowana przez społeczeństwo i władzę ludową pozycja. Takim głosem był np. głos Jerzego Putramenta, który słusznie zwrócił uwagę wszystkich uczestników zjazdu na wielki obowiązek ciągłej pracy pisarzy polskich nad tematyką współczesną. Do takich głosów należał wspomniany już głos autora „Czerwonych tarcz". Podkreślił on ogromny obowiązek pisarzy polskich i nie tylko polskich, obowiązek aktywnego, twórczego uczestnictwa w światowym ruchu obrońców pokoju. Do takich głosów przyłączył się głos młodego, ciągle doskonalącego swoje dzieło Wiktora Woroszylskiego, który wzywał do odważnego, mądrego i głębokiego widzenia spraw człowieka dojrzewającego w rewolucji i nieraz upadającego, potykającego się na jej wyboistej drodze...

Nie mam jednak zamiaru dokonywać dokładnej rejestracji wypowiedzi pięknych, mniej pięknych, a czasami — bo i takie były — nietwórczych, małostkowych, uwikłanych w rzeczy błahe. Warto jednak odnotować, że nie wszystkie sprawy doczekały się potrzebnego im omówienia, potrzebnej gruntownej analizy. Do takich jakby ominiętych w obradach zjazdowych spraw należała np. sprawa kry-

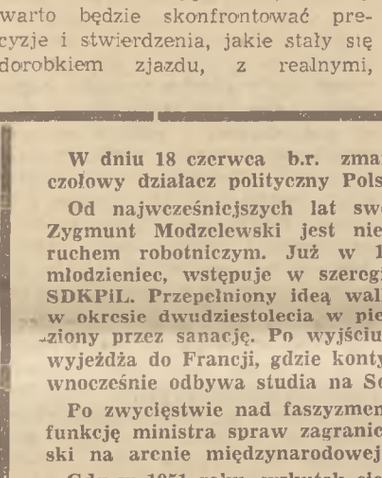

Maria Dąbrowska

tyki literackiej, o której słuszne rzeczy ogólne mówił Ryszard Matuszewski, ale która domaga się bardziej szczegółowego, bardziej wnikliwego i tym samym bardziej zobowiązującego do poprawy istniejącej sytuacji omówienia. Do zlekceważonych także spraw należała sprawa satyry. Polemiczny dwugłos Mitznera i Huszczy niewiele wyjaśnił, a sporo pogmatwał. Należy sądzić, że sprawom tym poświęcimy więcej uwagi, inspirowani przez obserwacje poczynione na zjeździe.

Do przemyśleń zjazdowych wrócić na pewno wypadnie niejednokrotnie w konkretnych pracach, w konkretnych wypadkach, kiedy warto będzie skonfrontować precyzje i stwierdzenia, jakie stały się dorobkiem zjazdu, z realnymi, szczegółowymi przejawami życia literackiego.

ZOBOWIĄZANIA

I tym stwierdzeniem można by zakończyć to sprawozdanie. Rozwińmy tylko sens tego stwierdzenia. Chodzi o to, aby dorobek ideologiczny, dorobek myślowy zjazdu, jego atmosfera i szczerze brzmiące w niej zobowiązania przetłumaczone były na język codziennego życia literatury, codziennych trudów krytyki literackiej, codziennej żarliwości polemiki, wspólnych ustaleń i wspólnego dążenia do coraz piękniejszego i coraz bogatszego rozwoju naszej kultury.

Czy potrafimy wspólnie dokonać tego przekładu teoretycznych ustaleń na język praktycznego działania — to rzecz przyszłości. Czy zasada poszerzonego frontu literackiego, zasada wzmożonej aktywności wieloświatopoglądowego aktywu rewolucji kulturalnej w Polsce Ludowej znajdzie swój realny wyraz w historii stojących przed nami dni — to rzecz przyszłości. Czy perspektywy rozwoju życia literackiego w Polsce, oparte na zasadzie pełnego poszanowania praw indywidualności twórczej, która chce służyć sprawie pokoju i postępu, staną się realnymi perspektywami konkretnych, spełniających ten podstawowy warunek procesów kulturalnych — to rzecz przyszłości. Czy — mówiąc ogólnie — twórcza współpraca ludzi różnych postaw światopoglądowych, ale wspólnej troski o rozwój naszego narodu, o wzrost sił obozu pokoju i postępu stanie się twórczą treścią służącą wzbogaceniu naszego życia kulturalnego — to rzecz przyszłości.

Ale — zbrojni w doświadczenia X-lecia rewolucji socjalistycznej w Polsce, bogaci wiarą we wspólnotę i nadrzędność naszych interesów narodowych, interesów, które są jednocześnie siłą obozu rewolucji najgodniej reprezentującego naród — wiemy doskonale, że przyszłość jest rzeczą ludzkiego wysiłku, ludzkiej mądrości i ludzkiej zdolności organizowania świata.

Ta wiedza jest jednocześnie dla nas wszystkich wielkim zobowiązaniem.

Zygmunt Lichniak

W dniu 18 czerwca b.r. zmarł ZYGMUNT MODZELEWSKI, czołowy działacz polityczny Polski Ludowej.

Od najwcześniejszych lat swej pracy społeczno - politycznej Zygmunt Modzelewski jest nierozerwalnie związany z polskim ruchem robotniczym. Już w 1917 roku, jako siedemnastoletni młodzieniec, wstępuje w szeregi rewolucyjnej partii proletariatu SDKPiL. Przepełniony ideą walki o wyzwolenie społeczne działa w okresie dwudziestolecia w pierwszej linii KPP, za co jest więziony przez sanację. Po wyjściu z więzienia, na polecenie Partii, wyjeżdża do Francji, gdzie kontynuuje działalność polityczną i równocześnie odbywa studia na Sorbonie.

Po zwycięstwie nad faszyzmem niemieckim, od 1949 roku pełni funkcję ministra spraw zagranicznych reprezentując interesy Polski na arenie międzynarodowej.

Gdy w 1951 roku, wskutek ciężkiej choroby, ustąpił z zajmowanego stanowiska — nie mógł pogodzić się z bezczynnością. Poświęca się, w miarę sił, pracy naukowej. Do ostatnich dni swego życia pracuje na odpowiedzialnym stanowisku członka prezydium PAN, dążąc do coraz ściślejszego związania świata nauki z pracą i walką narodu o socjalizm.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

SPRAWA, KTÓRA NAS WSZYSTKICH ŁĄCZY*)

Drodzy Koledzy! Wczoraj wróciwszy do domu, do siebie na wieś po naszych obradach, ujrzawszy tę piękną pogodę czerwcową i cudowne urodzaje, jakimi się cieszy nasza okolica, ten pogodny wieczór — zapytałem siebie, czy czasem nie marnujemy naszego czasu siedząc tutaj w upale i spierając się o te czy inne wiatry. Ale po głębszym zastanowieniu pomyślałem, że nie. Że z tego, co my tutaj sobie mówimy, mniej lub więcej udolnie, powstaje i powstanie możliwość cieszenia się takim pięknym wieczorem, cieszenia się pięknem naszej przyrody, dla naszych dzieci i wnuków — gdyż to, co robimy tutaj, to, o co się spieramy, jest walką o pokój.

Bardzo jestem szczęśliwy, że mogę przemawiać tutaj bezpośrednio po tym pięknym apelu, który zgłosił mój przyjaciel i kolega a i współtowarzysz w walce o pokój, Antoni Słonimski. Wzywa on w swym apelu pisarzy Europy do wzmożenia walki o pokój. Ja bym poszedł trochę w innym kierunku, wzywając polskich pisarzy do wzmożenia walki o pokój.

Wiemy doskonale o tym, że walka naszych pisarzy, udział ich w ruchu obrony pokoju jest niedostateczny.

Określaliśmy tutaj i wielokrotnie i słusznie moment historyczny, w którym odbywa się nasz Zjazd, powołując się na II Zjazd Partii i na XI Sesję Rady Artystycznej, ale ani razu nie padło naświetlenie wielkiego momentu historycznego, momentu, który w tej chwili przeżywamy, z punktu widzenia sytuacji międzynarodowej, tak, jak gdyby ta nasza Polska była na jakimś obciętym paznokciu i miała załatwiać wszystkie swoje sprawy wewnętrzne bez oglądania się na to, co się dzieje na całym świecie. A na całym świecie w tym wielkim sezonie, jakim jest lato 1954 roku dzieją się rzeczy wielkie, potężne i koło których obojętnie przechodzić nie możemy.

Sytuacja taka, kiedy się odbywa konferencja w Genewie, kiedy się

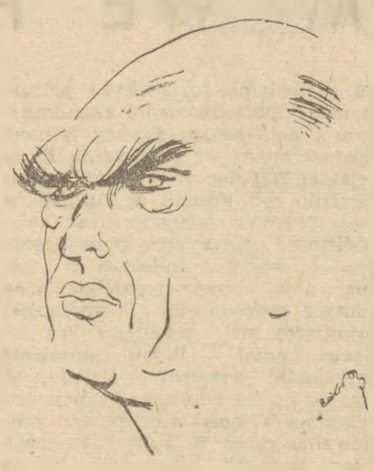

Jarosław Iwaszkiewicz

przed chwilą odbyło posiedzenie Światowej Rady Pokoju w Berlinie, kiedy się odbyła konferencja ministrów spraw zagranicznych w Colombo, kiedy się chmury zbierają nad malutką Guatemalą — sytuacja ta naświetla i nasz Zjazd w sposób bardzo specyficzny.

Musimy pamiętać o tym, co tutaj tak pięknie powiedział nasz przyjaciel Nazim Hikmet, że my nie piszemy tylko dla siebie. Ta wielka szansa przypadła naszemu pokoleniu w udziale w przeciwieństwie do naszych poprzedników — biedaków z ubiegłego wieku, na przykład jak biedna Orzeszkowa, która gdzieś w Grodnie w zakamarku musiała sama wysnuwać swoje myśli i swoją ideologię. Jesteśmy teraz wszyscy w innej sytuacji, piszemy dla całego świata i odpowiedzialność nasza za każde słowo powinna być tym większa — odpowiedzialność pisarzy i odpowiedzialność naszych kierowników kulturalnych.

Dam wam mały przykład. Broszura naszego przyjaciela i mego serdecznego przyjaciela — ministra Włodzimierza Sokorskiego o plastyce została przełożona na język hiszpański i rozprzestrzeniona na całym kontynencie Ameryki Południowej, tworząc tam zamęt w rozmiarach globalnych.

Jakaż odpowiedzialność na nas wszystkich ciąży. Czy się zastanawia nasz pisarz, drukując i wydając swoje książki, czy może nasz polityk kulturalny, przemawiając w ten lub inny sposób, że to już są sprawy, nad którymi będzie się zastanawiał postępowy pisarz i działacz Ameryki Południowej, walczący o wolność Murzyn w Afryce, i budzący się kontynent azjatycki.

Światowa Rada w Berlinie przeszła jak gdyby niepostrzeżenie, nie zareagowaliśmy na nią w ten sposób jakby to powinno być. A było to wielkie świadectwo budzenia się potężnego olbrzymiego kontynentu azjatyckiego, który powstaje na horyzoncie naszego życia jako nowe, wielkie, potężne oblicze.

Jeszcze jedna sprawa. Jak słusznie tu powiedział Antoni Słonimski — sprawa pokoju, sprawa przeciwstawienia się stosowaniu broni masowej zagłady jest tą sprawą, która nas wszystkich bez wyjątku łączy w wielki ideowy front walki.

Nie możemy odrzucać tutaj oferty kol. Lichniaka. Razem możemy i musimy przeciwstawić się temu potężnemu barbarzyństwu, które wstrząsnęło sumieniami całego świata.

Moi kochani, wy nawet nie macie pojęcia jak wzrósł ruch obrońców pokoju na całym świecie po doświadczeniach na Bikini. Wy nawet nie orientujecie się, jak potężny ruch obrońców pokoju zmobilizował opinię publiczną całego świata, jak mógł się przeciwstawić tym straszliwym pogróżkom imperialistycznym.

Dam wam taki przykład. Kiedy przed 4-ma laty przed apelem sztokholmskim delegaci sekretariatu biura Ruchu Obrońców Pokoju—(Światowa Rada Pokoju jeszcze nie istniała) składali apel w sprawie zakazu broni atomowej w parlamentach świata, kiedy byłem w tej sprawie w Rzymie, uważało się za największy sukces, że nas w prywatnym pokoju przewodniczący parlamentu włoskiego przyjął i wziął z naszych rąk te uchwały.

A dziś parlament i senat włoski jednogłośnie uchwaliły apel przeciwko użyciu bomby atomowej, jednogłośnie, co się parlamentowi włoskiemu nie zdarzyło od 100 lat.

Postęp opinii publicznej jest olbrzymi i właśnie dla tych wszystkich, którzy się z naszym ruchem obrońców łączą, my pracujemy i my piszemy i nasze uchwały będą nie tylko dla naszego Związku ważne, ale będą ważne dla wszystkich demokracji ludowych, dla całego świata postępowego. Toteż pozwólcie mi na zrobienie tej uwagi, że słowo „pokój" zjawia się tutaj na naszym Zjeździe od czasu do czasu jak refren modlitwy w kościele — „qui tecum vivit et regnat". Ale pełnego znaczenia temu słowu jeszcze nasz Zjazd nie nadał i nasi pisarze nie zdali sobie dostatecznie z niego sprawy.

Kochani moi, nawet w waszym własnym interesie zetknięcie się ze światowym ruchem obrońców pokoju jest ważne, przecież przez ten kontakt z całym światem pomnaża się nasza wiedza o świecie, najwybitniejsi pisarze wypowiadają się w tych sprawach w sposób niezmiernie interesujący. Mowa Sartre'a w Berlinie, gdzie z całym swoim genialnie analitycznym umysłem zanalizował filozoficzne, historyczne znaczenie pogróżki bomby wodorowej, nawet nie jest nam znana.

Nie powinniśmy poza tym zjawiskiem na Zachodzie Europy pomijać milczeniem. Nie można chować głowy jak struś w piasek, bo obawiam się, że opinia publiczna Polski, która wbrew pozorom istnieje, wreszcie tego strusia kopnie w ufryzowany ogon. Musimy na te rzeczy reagować, jeżeli nie odpowiedzią bezpośrednią, to ideowym uzasadnieniem naszej sytuacji, naszej pracy, naszego dążenia do pokoju,

Moi złoci, i właśnie tylko po takich rozmyślaniach, po uświadomieniu sobie wielkiej roli pisarza polskiego, który obok pisarzy radzieckich, obok pisarzy chińskich jest trzecią grupą pisarską, na którą się zwracają oczy całego postępowego świata, tylko po takich rozmyślaniach można wrócić do naszej pogody czerwcowej i dopiero wtedy można pisać takie wiersze:

Wcześnie. Pierwszy dzień czerwcowy.
Rosi radość ranny deszcz,
Wiozą cegły do budowy,
Rośnie żyto, rośnie perz.
Bzów fontanny jeszcze pluszczą,
Słowik trafia w deszczu ton,
Wszystkim dębom, wszystkim bluszczom
Liść wyrasta w małą dłoń.
Wschodzi dzionek pracowity,
Chwała mokrym, ciepłym dniom,
Chwała wieńcom z dłoni witym
Pokój miastom, pokój wsiom.

*) Autoryzowany tekst przemówienia wygłoszonego na VI Zjeździe Związku Literatów Polskich.

IZABELLA KOPEĆ

O ZBUDZONYM OLBRZYMIE I ZWODNICZYCH SNACH

OPINIA europejska poruszona została niedawno niezwykłym posunięciem propagandy amerykańskiej. Redakcja wielkiego tygodnika ilustrowanego „Life" puściła w świat olbrzymi numer w całości poświęcony Niemcom Adenauera. To wydanie specjalne ukazało się w dwóch nakładach: jednym wewnętrzno-amerykańskim z datą 10 maja br. i drugim na zagranicę z datą 31 maja. Nosi ono wiele mówiący nagłówek: „Niemcy — zbudzony olbrzym".

Ukazanie się niemieckiego numeru „Life", który ze zdumiewającą szczerością ujawnia związki polityki amerykańskiej z najbardziej reakcyjnymi, faszystowskimi i rewizjonistycznymi siłami Niemiec zachodnich, spotkało się z ostrą reakcją prasy europejskiej: francuskiej, włoskiej, polskiej itd. Numer ten jednak jest tak charakterystyczny i pouczający, że warto przyjrzeć mu się bliżej spokojnie i beznamiętnie.

To, że właściciel i wydawca „Life'u" — Henry L. Luce — którego żona jest ambasadorem USA w Rzymie, jest „przyjacielem" Niemiec (specjalnych Niemiec) i żarliwym szermierzem proniemieckiej orientacji amerykańskiej polityki zagranicznej, jest rzeczą ogólnie znaną. Nie dla samej przyjaźni jednak i nie przypadkowo chyba zdecydował się on na wydanie tego zeszytu „Life'u" właśnie teraz. O tym, że wydawcy przywiązują do tego numeru bardzo duże znaczenie, świadczy nie tylko fakt, że Emmet John Hughes, członek redakcji „Time" i „Life", odbył kilkumiesięczną podróż po Niemczech, aby, jak się wyraził, zapuścić sondę pod błyszczącą powierzchnię życia gospodarczego tego kraju, lecz także i to, że o napisanie przedmowy zwrócono się do najpopularniejszego w Stanach Zjednoczonych „Europejczyka", Konrada Adenauera. Skwapliwie zgodził się on na to, gdyż jak sam pisze: „w czasach pełnych napięcia, w chwili, gdy Amerykanie i Niemcy znajdują się w obliczu tego samego niebezpieczeństwa oraz wobec równie istotnego dla obu stron zagadnienia przetrwania, jest rzeczą niezmiernie ważną, aby oba kraje poznały się wzajemnie". Jakie ma być to poznanie i czy zmierza ono do rzetelnej wiedzy, czy też do prawdy specjalnie spreparowanej, służącej z góry wytkniętym celom? To, że w numerze tym pod szumnym tytułem „Kamienie milowe kultury" w jednym szeregu z Gutenbergiem, Schillerem, Kantem, Wagnerem, Robertem Kochem, a nawet i Karolem Marksem, znalazł się Adolf Hitler, urasta chyba do znaczenia symbolu!

OBRAZ NIEMIEC

JAKI to obraz pragnie wydawca „Life'u" ukazać Amerykanom? Wypada chyba zacząć od stolicy Związku, od Bonn, starego miasta uniwersyteckiego, w którym urodził się Beethoven, a które wydaje się jakby nieco zdziwione z powodu roli, jaka mu obecnie przypadła. Oto, co o nim pisze Emmet John Hughes w artykule zatytułowanym „Rok, w którym ważą się losy Europy": „Widzimy tu reżim burżuazyjny niemal w karykaturze, rzeczywiście wierny obraz europejskiej konserwatywnej kontrrewolucji, która wygnała z kontynentu prawie wszystkie rządy socjalistyczne. Żaden błysk politycznej fantazji nie rozświetlił tu nigdy horyzontu, żadna samodzielna śmiała myśl nie mąci spokoju powierzchni".

O tym, że burżuazja odzyskała swe wpływy świadczy wiele innych artykułów w tym samym numerze. Artykulik pod tytułem „Zadymione niebo, wielkie obroty" mówi, że Krupp jest znów jednym z największych przemysłowców Europy, że Henkel z wielkim powodzeniem produkuje swe sławne mydło „Persil", no i że obok tych starych powstaje warstwa nowych kapitalistów, którzy rozszerzają swą ekspansję, tak jak na przykład J. Oswald Hoffman z Düsseldorfu, który rozpoczął (w 1946?) tylko z 63 robotnikami, a dziś ma ich już 950. Düsseldorf właśnie, jak czytamy w innym artykule, symbolizuje odrodzenie się Zagłębia Ruhry i jest jednym z najbogatszych miast Europy. Jest to miasto bossów: ich biur i rezydencji; ośrodek nowej niemieckiej arystokracji bankierów i przemysłowców, których królestwo oparte na produkcji węgla rozciąga się na północ od Düsseldorfu i obejmuje inne miasta fabryczne, takie jak Essen i Dortmund. Düsseldorf jednak jest sercem tego okręgu i tutaj, oczywiście dla wybranych, odbywają się fantastyczne pokazy modeli paryskich domów mód i tutaj także najwspanialsza cukiernia — „Rütten-Konditorei" produkuje 60 rodzajów słodyczy dla „żarłocznych kobiet", które mają dużo pieniędzy i mało do roboty, natomiast wiele spraw do omówienia przy kawie.

Nie tylko jednak przemysłowcy opływają we wszystko. Wielkim właścicielom ziemskim również dzieje się nieźle. Przykładem tego może być hrabina Matuschka-Greiffenclau, czy książę von Metternich-Winnebourg, którym życie upływa w bajecznych zamkach nad brzegiem Renu. 85-letni książe Ruprecht, Kronprinz Bawarii, Hrabia Palatynatu i Renu, Książę Frankonii i Szwabii również nie może narzekać na swój los. Nadal rządzi on swoim pałacem, który obecnie jest co prawda własnością państwa, ale staremu księciu i jego córce Zofii brak tylko chyba ptasiego mleka, skoro jego osobista służba składa się z 13 osób.

Brukowa literatura, teatr i film potęgują w społeczeństwie niemieckim dążenie do osiągnięcia takiego luksusowego życia. Przykładem niech tu będzie reportaż „Life'u" o „nowoczesnym" niemieckim dziewczęciu, co przepada za swymi samotnymi wyprawami do opery, jak również i za swą pracą za 400 marek, lecz które ma tylko jedno marzenie, aby „słuchać męża", na którego zgłasza już swą kandydaturę zubożały hrabia-uchodźca.

Redaktorzy „Life'u" chcą jednak stworzyć pozory bezstronności i przyznają, że nie wszystkim oczywiście wiedzie się tak dobrze. Oto artykulik o dziejach Manfreda Mai. Ojciec jego jest robotnikiem fabrycznym i zarabia 75 marek tygodniowo, co nie wystarcza na zaspokojenie potrzeb dość licznej rodziny. Dlatego tylko najstarszy brat Freda — Karl — może kontynuować swą naukę w szkole średniej, aby potem próbować dostać się na uniwersytet, 13-letni Fred natomiast po ukończeniu szkoły podstawowej musi obejrzeć się za pracą i to nie za taką, jaką by lubił, lecz po prostu za takim zarobkiem, jaki uda mu się znaleźć. Choć bowiem jest jeszcze młody, zna życie i wie, że otrzymać pracę nie jest wcale łatwo i dlatego trzeba chwytać wszystko, co się nawinie pod rękę.

Jest to oczywiście dosyć smutne, dla redaktorów „Life'u" nie ma jednak w Niemczech sytuacji beznadziejnych. Nie ma powodów do zmartwienia, gdyby bowiem młodemu człowiekowi nie udało się znaleźć pracy, szeregi Bundesgrenzschutzu stoją przed nim otworem. Są to obecnie „jedyne" niemieckie siły zbrojne, składają się tylko z ochotników, a zadaniem ich jest „jedynie" strzec granic Niemiec przed komunistyczną infiltracją. Żeby żołnierze ci jednak stali naprawdę na wysokości zadania instruktorami ich są byli oficerowie Wehrmachtu, a ćwiczenia tej „straży granicznej" obejmują łapanki, łącznie z rozstrzeliwaniem pojmanych więźniów, Na razie są to tylko ćwiczenia!

KTO TU ZAWINIŁ?

JAKI więc, ogólnie biorąc, przekrój stosunków można wydedukować ze specjalnego numeru „Life'u"? Jest to obraz ponury i co gorsza w dużym stopniu prawdziwy. Za takie jednak oblicze Republiki Bońskiej ponoszą winę przede wszystkim Amerykanie. Historia rządzi się prawem żelaznej konsekwencji i określona polityka musi pociągnąć za sobą określone skutki. Jeżeli antyludowa, antydemokratyczna i antypokojowa polityka Stanów Zjednoczonych objęła swymi wpływami Niemcy zachodnie, konsekwencją takiego stanu rzeczy musi być nawrót do faszyzmu, próba odbudowy Wehrmachtu, zbrojenia i rewizjonizm. Rewizjonizm zachodnio - niemiecki i neofaszyzm nie byłyby do pomyślenia bez inspiracji i pomocy amerykańskiej. Wystarczy choćby przypomnieć przemówienie ministra Byrnesa, który już w 1946 r. w Stuttgarcie zaatakował granicę na Odrze i Nysie i dał hasło do rozpoczęcia kampanii rewizjonistycznej. Od pierwszego niemal momentu po klęsce hitlerowskich Niemiec grupy rządzące Stanów Zjednoczonych chciały posłużyć się siłami odwetu w Niemczech. Po to potrzebny był im właśnie podział Niemiec. Z tych sił odwetu chcą zmontować nowy Wehrmacht.

Narody Europy jednak zbyt dobrze jeszcze pamiętają rany zadane im przez hitlerowców, trudno więc przywódcom amerykańskim zbroić Niemcy bez żadnych obsłonek. Dlatego to szermują hasłem Zjednoczonej Europy i Europejskiej Wspólnoty Obronnej. I dlatego także Hughes nie mogąc rzeczywiście znaleźć wiele nowego w burżuazyjnej Republice Bońskiej we wspomnianym już wyżej artykule pisze: „Prawdą jest, że istnieją w tych nowych Niemczech dwie rzeczy zupełnie nowe. Pierwszą jest pewien stary człowiek piastujący funkcję kanclerza, drugą zaś pewna stara idea, a jest nią Europa". Idea ta choć w nowym wydaniu — jest rzeczywiście stara, jak bowiem pisze w swej książce „Otwarta droga" uwolniony niedawno z więzienia przez władze francuskie znany dyplomata Trzeciej Rzeszy — Otto Abetz: „idea europejska, do której na jednym z Parteitagów w Norymberdze przyznał się Hitler", była ideą korzeniami tkwiącą w historii niemieckiej. „Była to idea średniowiecznej Rzeszy, idea zawierająca w sobie misję tradycyjną narodu niemieckiego w kierownictwie i obronie Zachodu przeciwko groźbie ze Wschodu".

Jak misja ta wygląda w wersji Adenauera? Oto co pisze ten mąż prawdziwie „opatrznościowy": „...Albo narody Europy połączą się i stworzą jedność, albo zginą. Nie ma innej alternatywy. Zjednoczenie Europy jest najważniejszym zadaniem naszych czasów..." „...Wolne narody świata mogą powstrzymać postępy komunizmu jedynie przez zbudowanie wspólnej przeciwko niemu zapory. Niemcy stoją w centrum tej zapory i jeśli one nie oprą się naciskowi, nikt nie powstrzyma zalewu komunizmu. Rozleje się on na całą Europę. Zadaniem Niemiec — ich historycznym zadaniem — jest zbudowanie tej zapory".

Adenauer pragnie udowodnić także, że narody Zachodu, a zwłaszcza Francja, niesłusznie obawiają się, iż w Europejskiej Wspólnocie Obronnej Niemcy będą grały pierwsze skrzypce. Mówi bowiem: „połączenie i koordynacja planów i celów, a nawet sił obronnych, uczyni wojnę między członkami EVG nie tylko bezsensowną, lecz zgoła niemożliwą... zaś bez niemieckiego udziału w budowie tej zapory (przeciwko komunizmowi — dop. mój) nie ma możliwości, aby Francja zachowała swą wolność i swą własną kulturę".

WYTYCZNE REDAKTORÓW „LIFE'u"

JAK wiemy jednak narodowi francuskiemu nie spieszno do podpisania się pod tą koncepcją i teraz staje się jasne, jaką myślą przewodnią kierował się „Life" wydając swój numer specjalny: „Francja przewleka ze zjednoczeniem Europy, lecz Adenauer, „wielki stary mąż", nie ma już wiele czasu". I dlatego, wyczytać to można między wierszami, Ameryka nie ma już także wiele czasu. Hughes pisze, że Kanclerz od niedawna zbiera stare zegary, nikt nie wie skąd pochodzi ta jego skłonność, lecz dla Hughesa symbolizuje ona położenie Niemiec.

Amerykanie bowiem choć w swym numerze specjalnym nie pokazują innego oblicza Niemiec, a zmiany jakie zaszły w Niemieckiej Republice Demokratycznej pokwitowali kilku zdawkowymi zdaniami, nie dostrzegając, oczywiście celowo, całej głębi tego zagadnienia, zdają sobie sprawę, że walka przeciwko „armii europejskiej" wzmaga się nieustannie. Wysunięty przez Związek Radziecki na Konferencji Berlińskiej i sprecyzowany bliżej w nocie z dnia 31 marca br. projekt Ogólnoniemieckiego Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, zapewniający poszanowanie niepodległości i bezpieczeństwa każdemu narodowi oraz stawiający skuteczną tamę polityce wojennej odegrał tu ogromną rolę. Projekt ten wykazał milionom ludzi we Francji, Włoszech i innych krajach Europy, że istnieje wyjście pokojowe, odpowiadające najżywotniejszym interesom narodów całej Europy. Obala on całkowicie wszelkie uzasadnienie planu zniszczenia suwerenności Francji i Włoch, planu wskrzeszenia militaryzmu niemieckiego pod nazwą „armii europejskiej".

Amerykanie obawiają się, że mogą zostać zmuszeni do zrezygnowania z Europejskiej Wspólnoty Obronnej. Dlatego drugim celem numeru niemieckiego „Life'u", obok chęci wywarcia presji na Francję, jest przekonanie amerykańskiej opinii publicznej, że naturalnym sprzymierzeńcem Ameryki na kontynencie są właśnie Niemcy.

Do celu tego redaktorzy „Life'u" zmierzają uderzając przede wszystkim w punkt najbardziej czuły dla Amerykanów. Punktem tym są sprawy gospodarcze. Nie ma więc końca wynoszeniu pod niebiosa tzw. „niemieckiego cudu". Hughes w swoim artykule pisze: „dziewięć lat wystarczyło, aby Niemcy stały się znów najważniejszym krajem zachodniej Europy. Produkcja ich odradzającego się przemysłu — najpierw zbombardowanego, później zaś zdemontowanego — jest obecnie o połowę wyższa, niż w 1936 r." Od Indii do Peru niemiecki agent handlowy rozwija swoją działalność proponując niemieckie towary o najwyższej jakości, zaś zachodnio-niemiecki minister gospodarki, Erhard, jest postacią szczególnie przez Amerykanów cenioną. Jakkolwiek normalną logiką rzeczy kapitaliści amerykańscy powinni być raczej zaniepokojeni tą wzrastającą ekspansją gospodarczą, wydawcy „Life'u" jednak dopatrują się w niej jedynie siły Niemiec zachodnich, a siła ta jest im obecnie przede wszystkim potrzebna.

W tym przekonaniu amerykańskiej opinii publicznej, że Niemcy są jedynym godnym uwagi narodem w Europie, swoistą zupełnie funkcję spełnia mapa, którą reprodukujemy. W opisie jej z rozczulającą wprost techniką uproszczenia dwa tysiące lat niemieckich dziejów zamknięto w 32 linijkach tekstu. Mapa ta — jak podkreślają jej autorzy — pokazuje współczesne Niemcy, takie, jakimi stworzył je Bismarck. Oczywiście, że samo ukazanie Niemiec, w skład których wchodziła wówczas ponad połowa dzisiejszych ziem polskich, przy takim stanie umysłów, jaki panuje dzisiaj w Niemczech adenauerowskich, nie jest pozbawione szczególnego politycznego znaczenia. Lecz nawet i to nie jest tutaj najważniejsze. Oddziaływanie tej mapy bowiem skierowane jest przede wszystkim na czytelnika amerykańskiego, mało na ogół znającego historię, natomiast lubującego się w barwnych fotografiach. Jakie bowiem wrażenie daje pierwszy rzut oka na tę mapę? Z jednej strony mamy Niemcy — kraj wspaniale zorganizowany, posiadający piękne budowle, wspaniałe statki, doskonałe i karne wojsko, wielkich wodzów i uczonych, z drugiej zaś jego sąsiadów — Francję i Polskę, gdzie możemy dostrzec jedynie żubry i biedną ludność wędrowną lub też trudniącą się rolnictwem. W pierwszym wypadku wielka kultura, w drugim zaś zacofanie i prymityw.

Amerykańscy autorzy tej mapy są jednak ludźmi sprytnymi, nie chcą, aby postawiono im zarzut, że fałszują historię, dlatego też przy poszczególnych obrazkach dali w nawiasie daty. Wszystko więc pięknie się zgadza. Hansa rzeczywiście rozwijała się od XIII do XVII wieku, Luter naprawdę przybił swe tezy dopiero w wieku XVI, Bismarck istotnie działał w XIX stuleciu, w Polsce zaś rzeczywiście ludność żyła z myśliwstwa do roku 2.500 przed Chrystusem. Mapa jednak na pewno nie jest przeznaczona dla uważnego czytelnika, a jej wymowa graficzna jest zupełnie jednoznaczna. Daty są małe, obrazki zaś duże, wniosek więc u przeciętnego Amerykanina jest prosty: Niemcy są jedynym kulturalnym narodem w Europie, jedynym narodem poważnym i z przyszłością.

A gdyby ktoś się obawiał, że mogą one grozić Zachodowi, mapa jest wspaniałym balsamem i na tę bolączkę, wszyscy przecież niemieccy wojownicy są zwróceni na Wschód. Tam wyciągają swe włócznie krzyżaccy rycerze, w tym kierunku podniósł swą szpadę Fryderyk Wielki, tam też spogląda Bismarck. Wiadomo przecież, „Drang nach Osten" jest faktem historycznie sprawdzalnym, uspokójmy więc swe obawy, mamy bowiem sojusznika, z jakiego możemy być dumni.

Ten sam zresztą Adenauer, który gwarantuje bezpieczeństwo Francji, twierdzi jednocześnie: „Naszym największym zadaniem na odcinku wewnętrznym jest odzyskanie tej części Niemiec, która leży obecnie w strefie sowieckiej oraz doprowadzenie do układu dotyczącego obszarów zarządzanych obecnie przez Polskę. Osiągnąć to chcemy za pomocą środków politycznych. Gdy ten cel zostanie osiągnięty, obszary te zupełnie na nowo będą musiały być zagospodarowane i zaludnione. Zadanie to na długi okres czasu całkowicie pochłonie potencjał gospodarczy i intelektualny naszej republiki".

ATUTY OBOZU POKOJU

JAKIMI to „środkami politycznymi" chce kanclerz Adenauer wypełniać swoje zadanie na odcinku wewnętrznym jest rzeczą powszechnie wiadomą i nie ma potrzeby tego powtarzać, trzeba jednak przypomnieć, że w Niemczech coraz mniej młodych ludzi ma ochotę stać się „mięsem armatnim". Potwierdza to sam Hughes pisząc: „istnieją niezbite dowody, że młodzież niemiecka odnosi się obojętnie do wszystkich starych haseł nacjonalistycznych, a nawet do obecnej remilitaryzacji".

Jeszcze jaskrawszym dowodem na to jest zmiana nastrojów wśród uchodźców niemieckich, którzy przecież dotąd byli ludnością najbardziej podatną na hasła rewizjonistyczne. Rząd republiki bońskiej celowo bowiem utrzymuje zagadnienie przesiedleńców jako kwestię otwartą, celowo przetrzymuje kilkaset tysięcy ludzi w obozach urągających najprymitywniejszym potrzebom, celowo nie pozwala na włączenie się ich w normalne życie gospodarcze, celowo nie dopuszcza do ich asymilacji. Chce on bowiem utrzymać to zagadnienie na powierzchni jako „dokument barbarzyństwa polskiego", jako argument na rzecz rewizjonizmu. Rewizjoniści z Bonn rozważali nawet myśl stworzenia odrębnych wojskowych jednostek ziomkowskich jako szturmówek dla ponownego zdobycia Wschodu. Plany te jednak musiano porzucić z powodu postawy samych przesiedleńców, niechętnych w większości remilitaryzacji i wszelkiej myśli o wojnie. Dowodem tego jest przeprowadzona niedawno ankieta, w której na pytanie: „Czy chcesz powrócić za Odrę i Nysę" — 75 proc. odpowiedziało: „nie poprzez wojnę".

Zmiana ta jest jeszcze bardziej widoczna na odcinku młodzieży, która wbrew wytycznym władz asymiluje się jednak w Niemczech zachodnich. Wśród rewizjonistów budzi to zrozumiały niepokój, tutaj bowiem pokładali oni swe największe nadzieje. Dlatego to obok wielu innych pism, organ przesiedleńców ze Śląska „Der Schlesier" bije na alarm, że młodzież śląska asymiluje się i przestaje myśleć o swej właściwej ojczyźnie. „Głosy potwierdzające coraz silniejsze odsuwanie się młodego pokolenia wysiedleńców od działalności ziomkostw są coraz częstsze" — pisze w innym miejscu ten sam „Der Schlesier".

Młodzież niemiecka, do której należy przyszłość tego kraju, a która tak silnie zaakcentowała swoje stanowisko na ostatniej Konferencji Młodzieży Krajów Europejskich w Berlinie, w swej ogromnej większości nie chce odrodzenia militaryzmu niemieckiego i nie chce wojny.

Niemiecka klasa robotnicza, choć demoralizowana przez Amerykanów i narzucony przez kapitalizm niemiecki „ideał" życia społecznego, choć od lat oszukiwana przez kierownictwo SPD, jest jednak poważną zaporą na drodze refaszyzacji życia Niemiec. Nie wolno zapominać, że niemiecka klasa robotnicza jest potężna i oświecona, że ma najstarsze tradycje rewolucyjnych i postępowych ruchów klasowych, których była pierwszą kolebką.

Narodowa burżuazja niemiecka również nie kwapi się do awantury amerykańsko - adenauerowskiej. „Frankfurter Allgemeine Zeitung", jeden z organów tej burżuazji, tak oto — w sposób oczywiście oględny — piórem H. von Borcha komentuje niemiecki numer „Life'u": „To, jak na dany naród patrzą inne narody, jest sprawą polityczną o pierwszorzędnym znaczeniu, takie kolektywne oceny jednak są często wysoce problematyczne i nie ma narodu, który nie musiałby się przed nimi bronić".

W swej ostatniej rozmowie z przewodniczącym Rady Ministrów ZSRR G. M. Malenkowem, premier NRD, Otto Grotewohl zwrócił uwagę na wzrost ruchu patriotycznego w Niemczech zachodnich, który jako jedną z przesłanek zjednoczenia Niemiec stawia sobie za cel zniesienie układów, związanych z utworzeniem Europejskiej Wspólnoty Obronnej. Wskazał on również na to, że wpływowe koła w Niemczech zachodnich, broniące interesów narodowych, widzą w jednostronnych więzach ekonomicznych Niemiec zachodnich przeszkodę do nawiązania korzystnych dla Niemiec zachodnich stosunków ze Związkiem Radzieckim.

W związku z tym premier Otto Grotewohl wyraził pragnienie, by rząd Związku Radzieckiego odniósł się z uwagą do ewentualnej inicjatywy ze strony zainteresowanych kół Niemiec zachodnich w sprawie nawiązania stosunków ekonomicznych i kulturalnych między Niemcami zachodnimi a Związkiem Radzieckim.

G. M. Malenkow oświadczył, iż rząd Związku Radzieckiego ustosunkuje się przychylnie do tego rodzaju inicjatywy, ponieważ nawiązanie stosunków ekonomicznych i kulturalnych między Związkiem Radzieckim i Niemcami zachodnimi odpowiada wzajemnym interesom obu stron i nie może nie przyczynić się do uregulowania kwestii niemieckiej i do utrwalenia pokoju w Europie.

Atuty więc obozu pokoju ciągle rosną. „Europa zaś — jak powiedział profesor Leopold Infeld na ostatnim posiedzeniu Światowej Rady Pokoju — widzi coraz wyraźniej, że tak zwana walka z komunizmem — to etykieta, pod którą kryje się polityczna i ekonomiczna służalczość wobec Ameryki. Europa zachodnia widzi coraz wyraźniej, że w razie wybuchu wojny sprowokowanej przez Amerykę, będzie ona ofiarą militaryzmu amerykańskiego i sprzymierzonego z nią militaryzmu niemieckiego. A świat tęskni za pokojem".

Polityka naszego obozu opiera się o przekonanie, że siły pokoju są potężniejsze od sił wojny. Ale pewność ostatecznego zwycięstwa pokoju i postępu nie może zmniejszać naszego oburzenia wobec jawnego podjudzania Niemców do nowych zbrodni, wychwalania militarystów i Wehrmachtu, korporanckiej młodzieży i straszliwego starca Adenauera. Niemiecki numer „Life" — to nie tylko skandal. To również dowód jak groźna dla pokoju jest polityka amerykańska, to dowód co niesie ona narodom Europy, a wśród nich i naszemu narodowi.

Można mieć pewność, że przez swój cenny numer pan Luce, podobnie jak min. Dulles przez torpedowanie konferencji genewskiej, szykowanie interwencji w Indochinach i hitlerowskiej napaści na małą i bezbronną Gwatemalę, osiągają jeden niezmiernie ważny rezultat: nowe miliony ludzi, którzy dotychczas żywili złudzenia co do istotnych celów polityki amerykańskiej, zostały z tych złudzeń ostatecznie wyzwolone.

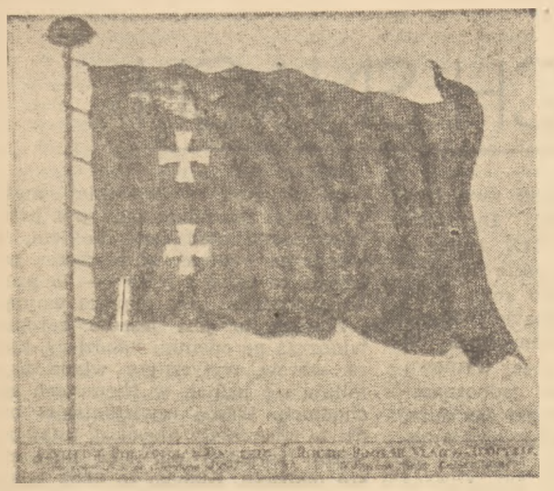

Stara polska flaga morska Gdańska

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI

ZWIĄZEK POMORZA Z POLSKĄ

DLA historii związków Pomorza z Polską mamy w okresie średniowiecza kilka punktów o znaczeniu przełomowym. Jeśli pominąć okoliczności opanowania Pomorza przez pierwszych Piastów, należałoby za taki punkt przełomowy uznać przede wszystkim ugruntowanie władztwa piastowskiego na Pomorzu w epoce Bolesława Krzywoustego.

Dalszym punktem przełomowym stała się okoliczność utraty Pomorza przez Polskę na początku XIV stulecia, w pamiętnym 1308 r. Trzecim na koniec był moment powrotu Polski na Pomorze, wyznaczony trzema datami: pierwsza z nich, to rok 1454, tj. data hołdu stanów pruskich, złożonego Kazimierzowi Jagiellończykowi, data zarazem aktu inkorporacji Prus do Polski. Rocznicę tego faktu obchodzimy współcześnie, po 500 latach. Druga data, to rok 1466, data pokoju toruńskiego, który zakończył wojnę toczoną przez lat trzynaście od chwili poddania się Prus Polsce. Trzecia, to rok 1525, data hołdu pruskiego w Krakowie, w którym utrwalone zostało władztwo polskie nad Bałtykiem, zakwestionowane u schyłku wieku XV przez ponownie buntujących się mistrzów Zakonu krzyżackiego.

W stosunku do każdego z tych punktów przełomowych wykazać można współzależność historii politycznej tego czasu z historią organizacji kościelnej. Nie jest to zjawisko wyjątkowe dla ówczesnej epoki. Warto je jednak przypomnieć ze względu na rolę, jaką organizacja kościelna odegrała na Pomorzu dla utrzymania związku tej dzielnicy z Polską.

W czasach Bolesława Krzywoustego wyłoniło się najpierw polityczne powiązanie Pomorza z Polską. Mamy ślady jakichś drobnych książąt na pograniczu wielkopolsko-pomorskim; ślady jakiegoś małego feudała w Czarnkowie. Była nawet ze strony Bolesława Krzywoustego próba, ażeby tych drobnych feudałów pozostawić przy władzy, podporządkowując ich sobie w sposób tylko pośredni. Próba ta jednak, jak o tym relacjonuje nasz najdawniejszy kronikarz Gall Anonim, nie powiodła się. Ci drobni książęta mieli nie dochowywać wierności i dlatego Bolesław Krzywousty zdecydował się na zasadę inkorporacji.

Odmiennie przedstawiała się sprawa na Pomorzu Zachodnim. W tym znaczeniu, że tam ostatecznie zdecydowano się na formę inkorporacji pośredniej, tzn. z pozostawieniem miejscowej dynastii, która dała początek dynastii książąt zachodniopomorskich, wygasłej dopiero w XVII stuleciu. Ale stosując zasadę inkorporacji bezpośredniej, jak w stosunku do Pomorza gdańskiego, względnie zwierzchnictwa pośredniego, jak w stosunku do Pomorza Zachodniego, równocześnie ze strony piastowskiej ubezpieczono się od wszelkich niespodzianek w inny jeszcze sposób. Mianowicie wcielono do Wielkopolski szeroki pas ziemi na północ od Noteci. W ten sposób w granicach Wielkopolski znalazło się m. in. Nakło i tak zwana Kraina. W XIII wieku w ten leśny rejon usiłowała wbić się Marchia brandenburska. Piastowie jednak dążyli do tego, by ta międzyplemienna puszcza leśna była w ich bezpośredniej dyspozycji.

Tym działaniom terytorialno-politycznym towarzyszyły pociągnięcia natury organizacyjno - kościelnej. Dwoistości w sposobie rozwiązania problemów terytorialno-politycznych Pomorza w początku XII wieku towarzyszyła dwoistość w rozwiązywaniu problemów organizacyjno-kościelnych. Kraj bowiem trzeba było w jakiś sposób powiązać z istniejącą w Polsce jednostką kościelną, tj. prowincją gnieźnieńską. Można to było zrobić albo przez utworzenie osobnego biskupstwa (biskupstw), albo przez przyłączenie poszczególnych części Pomorza do istniejących już diecezyj polskich.

Utworzenie odrębnych diecezyj mogło być jednak ryzykowne. Trzeba pamiętać o sumie prerogatyw, jakie posiadał średniowieczny władca diecezyj. Mogłaby więc istnieć obawa, że w kraju świeżo dopiero z Polską połączonym oddzielne formy organizacji kościelnej będą zużyte dla celów separatystycznych, zwłaszcza gdyby władcę diecezji udało się pozyskać dla takich celów. Jakiekolwiek jednak były przesłanki decyzji Bolesława Krzywoustego, poszła ona w kierunku nietworzenia odrębnych diecezyj na Pomorzu. I tak, jeśli chodzi o Pomorze Wschodnie — gdańskie, przyłączono je jako archidiakonat pomorski (gdański) do odnowionego podówczas biskupstwa kujawskiego. Istniało ono niegdyś za Mieszka II ze stolicą w Kruszwicy; potem upadło w okresie rewolucji pogańskiej.

Teraz, w dwudziestych latach XII wieku, przeniesiono je do położonego nad Wisłą Włocławka. Owoż panem kościelnym Pomorza gdańskiego miał być biskup kujawski, rezydujący we Włocławku. Ten stan rzeczy nie uległ zmianie.

Inaczej trochę miała się sprawa na Pomorzu Zachodnim. Tutaj, zdaje się, dla podobnych celów utworzono biskupstwo w nadodrzańskim Lubuszu. Ale pozycja Pomorza Zachodniego była silniejsza niż gdańskiego i takiego rozwiązania nie dało się utrzymać w sposób trwały. Dlatego też przystąpiono ostatecznie, ale już po śmierci Krzywoustego, do utworzenia osobnej diecezji zachodnio - pomorskiej ze stolicą w Wolinie. Niebawem stolicę tę przeniesiono do sąsiedniego Kamienia. Nie trzeba dodawać, że biskup zachodnio-pomorski był sufraganem arcybiskupa gnieźnieńskiego, i że jego diecezja wchodziła tym samym w skład prowincji gnieźnieńskiej.

Jeśli chodzi o Pomorze Zachodnie, to związek tej dzielnicy z prowincją kościelną gnieźnieńską nie uchronił jej przed dążnościami separatystycznymi. Uległo im i biskupstwo kamieńskie, które przyjęło postać biskupstwa podległego bezpośrednio Stolicy apostolskiej. Ale należy pamiętać, że kiedy w XIV wieku Kazimierz Wielki przystępował do szeroko zakreślonego planu rewindykacji ziem północnych i zachodnich, kładł on ogromny nacisk na starożytność związku biskupstwa zachodnio-pomorskiego z prowincją kościelną gnieźnieńską. Starał się o odnowienie tego związku.

To mu się wprawdzie nie udało, ale w wyniku tych działań pozostała w Gnieźnie świadomość starożytnego związku Pomorza Zachodniego z polską prowincją kościelną. W XVI wieku szermierzem tego poglądu był znakomity polityk, prymas Jan Łaski.

II.

OPUŚCILIŚMY sprawę Pomorza gdańskiego w początku wieku XIII.

Drugą połowę tego wieku przeżywało ono na ogół w harmonijnym związku z Polską. Dopiero pod koniec tego stulecia, równocześnie z zaznaczającymi się w Polsce tendencjami do rozdrobnienia feudalnego, powstają podobne tendencje i na Pomorzu gdańskim. Nosicielami ich nie jest jednak tam dynastia, bo jej już nie było. Rolę tę poczynają spełniać podnoszący się na znaczeniu urzędnicy piastowscy, którzy rekrutowali się oczywiście w pierwszym rzędzie z miejscowych feudałów. Obraz ich znamy doskonale z początku XIV wieku, z okresu zdrad rodu Święców w czasach walki z najazdem brandenburskim. Ale podobne ambicje istniały już wcześniej, a tym, który ostatecznie je w początku XIII wieku zrealizował, był Świętopełk. Kronika Wielkopolska zanotowała o nim dosadne słowa: „Zdrajca najpodlejszy, który uzurpował sobie władzę na Pomorzu". Tej władzy piastowskiej na Pomorzu usiłował bronić Leszek Biały, będący u końca życia tylko cieniem wielkiego księcia, ale starania te przypłacił śmiercią w Gąsawie w r. 1227. W takich to dramatycznych okolicznościach weszło Pomorze w okres rozbicia feudalnego, cechującego Polskę w XIII w.

Kiedy na przełomie XIII i XIV wieku poczynały w Polsce dochodzić do głosu tendencje zjednoczeniowe, dwa były ośrodki, które stawały się ich podmiotami. Jeden to dynastia piastowska, oczywiście nie w całości, ale niektórzy książęta. Drugi, to prowincja kościelna gnieźnieńska.

Na ten szczegół trzeba położyć znaczny nacisk. Należy bowiem pamiętać, że w rzędzie obręczy, w których wykuwała się jedność Polski piastowskiej, obręcz jednolitej organizacji kościelnej posiadała znaczenie zupełnie szczególne. Kierownicy tej prowincji byli więc w naturalny sposób zainteresowani w uzyskaniu takich warunków, które by sytuacji ich nie osłabiały, ale wzmacniały. Dopóki książęta piastowscy wyznawali zasadę absolutnej zwierzchności władzy świeckiej nad kościelną, przedstawiciele Kościoła oświadczali się raczej po stronie rozdrobnienia feudalnego. Episkopat polski w pewnej mierze przyłożył też rękę do tego rozdrobnienia, w którym Polska pogrążyła się od początku XIII wieku.

Ale w XIII wieku nastąpiły ważne zmiany. Rozpoczyna się agresja niemiecka, w wyniku której zostaje zabrana Polsce najpierw Ziemia Lubuska, a potem pas ziemi na północ od Noteci, przyłączony do Wielkopolski przez Krzywoustego. Drugą formą tej agresji jest agresja wewnętrzna wynikająca z procesu kolonizacyjnego. W pewnych zresztą momentach agresja wewnętrzna przeobrazała się w agresję zewnętrzną, jak w wypadku słynnego buntu wójta Alberta.

Obie te postaci agresji łączyły się z pomniejszeniem praw jurysdykcyjnych arcybiskupa gnieźnieńskiego. W konsekwencji arcybiskup stanął zdecydowanie po stronie czynników jedności polskiej. W słynnym liście arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakuba Świnki do trzech kardynałów z r. 1285 czytamy, że: „teraz zaś, gdy ludność niemiecka wkradła się i już w wielu miejscach zajmuje ziemię polską, to nie tylko Wasza Świątobliwość, ale i my ponosimy ciężkie szkody w naszych prawach i uszczerbek". Organizacja kościelna w Polsce doznaje „umniejszenia wolności kościelnej i praw naszych... lecz i wiele innego zła rozgałęziło się w kraju przez napływ owego ludu, bo ludność polska doznaje od nich ucisku, lekceważenia, wstrząsana jest walkami i ograbiana z praw i obyczajów ojczystych, ograbiana w głuszy nocnej ze swego mienia — co od tego wszystkiego jest jeszcze gorsze — gwałcą oni nietykalność Kościołów, lekceważąc sobie zupełnie i wzgardę okazując klątwom kościelnym".

Tak to Jakub Świnka na dziesięć lat przed koronacją Przemysława II stał się zdecydowanym zwolennikiem jedności państwa jako formy obranej przeciwko agresji zewnętrznej i wewnętrznej. Tradycja starożytnego związku prowincji gnieźnieńskiej z państwem piastowskim została użyta jako oręż polityczny Polski na przełomie XIII i XIV wieku.

O jakie to gwałty mogło chodzić Jakubowi Śwince? Wspomnieliśmy już o wdzieraniu się Marchii w pogranicze pomiędzy Wielkopolską i Pomorzem Zachodnim. Ale zamiary zaborcze Marchii sięgały dalej. Linią kierunkową był tutaj Gdańsk; panującym, który pierwszy udzielał pomocy potomkom Świętopełka przed agresją brandenburską, był stryj Przemysława II i poprzednik jego na tronie książęcym, Bolesław Pobożny.

Przemysław II poszedł po linii wytkniętej przez stryja i poprzednika. Miał równocześnie oparcie w świadomym swoich obowiązków arcybiskupie gnieźnieńskim. Ale w zmienionych warunkach zanikły i tendencje separatystyczne na Pomorzu gdańskim. Łatwiej bowiem było dogadać się książętom gdańskim z książętami piastowskimi, niż z książętami brandenburskimi. W ten sposób doszedł w r. 1282 w wielkopolskim Kępnie układ na przeżycie pomiędzy ostatnim księciem Pomorza gdańskiego Mszczujem II i ostatnim Piastem z linii wielkopolskiej, Przemysławem II. W ten sposób odnawiany związek Pomorza z Polską stanął u narodzin nowej jedności polskiej. Nie doszła ona w sposób łatwy do skutku. Wiec najpierw rychła śmierć Przemysława II, zamordowanego w niewiele miesięcy po koronacji królewskiej. Potem krótkotrwałe nieudałe rządy Łokietka w Wielkopolsce (1296 — 1299). Po śmierci zaś Wacława III w r. 1306 w Ołomuńcu, powrót Łokietka na Pomorze gdańskie. Widzimy go, jak w r. 1306 wystawia dokumenty i w Świeciu i w Gdańsku. Ale potem jakby znowu sprzysięgły się wszystkie złe siły. Miał episkopat polski Jakuba Świnkę, ale miał i Jana Muskatę. Ten ostatni działał w Krakowie i tu był naturalnym sojusznikiem tendencji separatystycznych, okazywanych przez niemieckich mieszczan krakowskich. Ci ostatni patrzyli niechętnie na upadek rządów czeskich w Polsce. Rządy czeskie to była perspektywa związków nie tylko ze Śląskiem, ale i z Pragą. Polska zaś Łokietka była nie tylko bez Śląska ale i w otwartej opozycji do ówczesnej Pragi. W ten sposób doszło do naturalnego powiązania interesów pomiędzy Janem Muskatą a formującym się buntem wójta Alberta.

Sytuacja stała się groźna, gdy Marchia brandenburska w r. 1308 uderzyła ponownie na Pomorze gdańskie. Miała tytuł „prawny" w cesji Wacława III, który przehandlował Pomorze za Łużyce. Miała oparcie w rodzie Święców, którzy sądzili, że zjednoczone państwo piastowskie da im mniejszą szansę niż związek z Marchią brandenburską.

Znany jest dalszy bieg wypadków: niemożność udzielenia oblężonemu Gdańskowi pomocy przez Łokietka, wezwanie na odsiecz Krzyżaków i zajęcie najpierw Gdańska, a później całego Pomorza na rachunek Krzyżaków. W ten sposób rozpoczął się na Pomorzu okres półtorawiekowej okupacji krzyżackiej.

Z walką z nią w pierwszych jej latach w szczególny sposób związała się osoba biskupa kujawskiego Gerwarda. Po śmierci Świnki (1315) był najbliższym doradcą politycznym Łokietka. On to doprowadził do skutku pierwszy proces polsko-krzyżacki o Pomorze, który się toczył w r. 1321.

Postać biskupa Gerwarda jak i historia podległości pomorza gdańskiego biskupstwu kujawskiemu, zasługują na osobną, obszerną monografię, niezależnie od cennych przyczynków, poświęconych już tej sprawie w naszej nauce.

III.

TRZECI moment przełomowy nadszedł gdy w r. 1454 król Kazimierz Jagiellończyk — w wyniku uchwały rady koronnej — przyjął zwierzchność nad Prusami i wydał akt inkorporacyjny. Pomorze wracało do tradycyjnego związku z Polską.

Pokój toruński, który zakończył wojnę trzynastoletnią, zmienił do pewnego stopnia rozmiary aktu inkorporacyjnego, albowiem przeważna część tzw. później Prus Wschodnich nie została do Polski wcielona, lecz została jej podporządkowana w sposób pośredni. Każdy wielki mistrz Zakonu krzyżackiego miał być lennikiem królewskim. Związek nowej organizacji ziem pruskich z Polską wyraził się w powiększeniu się ziem koronnych o obszar biskupstwa warmińskiego.

Najdonioślejszym zagadnieniem miała stać się sprawa zatwierdzenia pokoju toruńskiego przez Papieża. Wprawdzie do zawarcia pokoju doprowadził legat papieski, ale Rzym odmawiał zatwierdzenia warunków pokoju, chcąc w ten sposób wymusić na Kazimierzu Jagiellończyku udział w akcji anty-husyckiej. W ten sposób rozpoczął się okres z górą półwiecznych starań o zatwierdzenie pokoju toruńskiego. Kołatał o to Kazimierz Jagiellończyk, później Jan Olbracht i Aleksander, a następnie także Zygmunt Stary, aż wreszcie w miarę komplikowania się sytuacji wewnętrznej z zewnętrzno-polityczną zdecydowano się w Polsce na sekularyzację Prus i ustanowiono w nich dziedzicznego świeckiego księcia lennego. Sądzono, że jest to lepsze zabezpieczenie w porównaniu z wielkim mistrzem, który stale odwoływał się do cesarza i szukał poparcia w Rzymie.

ZDZISŁAW UMIŃSKI

POWROTY

Naród nasz w dążeniu ku utrwalaniu swej państwowości zawsze doceniał ogromne znaczenie dostępu do morza. Widział w nim jeden z podstawowych czynników warunkujących rozwój kulturalny i gospodarczy kraju. Można śmiało powiedzieć, że Polska wtedy osiągała znaczenie, kiedy właśnie władała Pomorzem, kiedy miała dostęp do morza.

Jeżeli spojrzymy na kartę naszych dziejów, łatwo zauważymy, że dzieje te cechowała nieugięta wola narodu, która pchała jego władców do powrotu nad morze, gdy utracono je na pewien czas wskutek parcia germańskiego. Bolesław Chrobry wysłał świętego Wojciecha nie tylko po to, aby nawracał Prusaków. Wielki król widział konieczność złączenia narodu z morzem. Bolesław Krzywousty, jeszcze jako piętnastoletnie chłopię, nie bez przyczyny wyprawiał się przeważnie na Pomorców. Coś w nim tkwiło, co pchało go ku morzu. Mógł przecież wyręczać swego niedołężnego ojca w wyprawach na Jadźwingów, na Litwę... Nawet tułający się po całym kraju niezłomny Łokietek śnił o morzu. Wykłócał się o nie z Krzyżakami bądź to mieczem, bądź to w oparciu o rozejmy, zresztą nie zawsze dla Polski szczęśliwe.

Wielka była tęsknota Piastów do morza. Gdy jedni z nich tracili doń dostęp, drudzy wyrąbywali drogę powrotu...

Jagiellonowie i Władysław IV spoglądali jeszcze ku morzu choć, poza Kazimierzem Jagiellończykiem i Władysławem Wazą, z mniejszą namiętnością. Nic dziwnego, interesy magnaterii powodowały, że polityka królewska przebiegała w sposób zgodny z wymaganiami oligarchii szlacheckiej. Można z całą pewnością stwierdzić, że upadek Rzeczypospolitej spowodowany został w znacznym stopniu właśnie utraceniem dostępu do morza. Naród jednak nigdy nie zapomniał o swojej dziejowej konieczności oparcia się o Bałtyk. W czasie zawieruchy Napoleońskiej polscy legioniści walczyli o Gdańsk i Pomorze.

Żeromski tam właśnie pisał wiele swoich utworów. Tam snuł myśli o Polsce szczęśliwej, wyzwolonej od nierówności społecznej.

*

Jeden z kolejnych powrotów narodu polskiego nad Bałtyk nastąpił po pierwszej wojnie światowej. Nie był to jednak powrót zupełnie szczęśliwy. Traktat wersalski przyznał nam skrawek Wybrzeża, a Gdańsk uczynił „wolnym miastem". Oczywiście, przyznanie Polsce tak szczupłego dostępu do morza nie było w żadnej mierze wynikiem jakiegokolwiek liczenia się z wolą i interesami narodu, lecz wyrazem polityki mocarstw zachodnich, zmierzającej do ograniczenia możliwości rozwojowych naszego kraju.

Nadszedł rok 1945. Strudzony długim marszem bojowym żołnierz znad Oki, przy pomocy swojego radzieckiego towarzysza, wyzwalał Kołobrzeg, Szczecin, Gdańsk. Mścił śmierć bohaterów Westerplatte. Jego trud i walka otworzyły nam już nie szczelinę, lecz prawdziwe okno na świat. Pięćset kilometrów wybrzeża morskiego pozwoliło nam szeroko spojrzeć na Bałtyk. Wielu z nas zastanawiało się wtedy czy zdołamy w szybkim czasie zagospodarować ten długi pas Wybrzeża; odbudować porty w Gdańsku i Gdyni, w Darłowie, Ustce i Szczecinie. Nikt też zapewne nie przypuszczał wówczas, że będziemy budować okręty we własnych stoczniach. A jednak nie znaliśmy siebie, nie wiedzieliśmy, jak wielkie siły drzemały w narodzie łaknącym twórczej pracy; nie wiedzieliśmy również wtedy, że socjalizm, wyzwalając uciskane dotychczas klasy, jest źródłem niespożytej energii.

Dzisiaj, po dziesięciu blisko latach od wyzwolenia Polski i od uzyskania dostępu do morza, osiągnęliśmy wspaniałe sukcesy. Przytoczmy parę porównań liczbowych, które najlepiej w swej suchej wymowie potwierdzą nasze osiągnięcia. W roku 1955 tonaż naszej floty będzie sześciokrotnie większy niż w roku 1939. Otwarte zostały nowe linie łączące nas z Indiami i portami Chin Ludowych. Posiadamy regularne połączenia z wszystkimi większymi portami Europy i Azji. Najważniejszym jednak osiągnięciem jest chyba rozwój naszego przemysłu stoczniowego. Dowiedliśmy wszystkim, że polski inżynier i robotnik potrafią budować okręty. Rozwialiśmy mit o wiedzy tajemnej, tworzony przez tych, którzy nie chcieli dopuścić do rozwoju polskich stoczni. Tonaż wodowany wzrósł już w roku 1951 dziesięciokrotnie w stosunku do 1949. Świadczy to chyba najlepiej o tempie pracy naszych stoczniowców. Sołdek — to nazwisko byłego robotnika stoczniowego, dziś inżyniera, i imię okrętu. Jakie to wspaniałe i pełne patosu, ale równocześnie jakże symboliczne. W niejednym obcym porcie, do którego statek ten zawija, zdarza się zapewne, że ktoś zapyta co oznacza nazwa okrętu. Gdy mu odpowiadają, napewno jest zdumiony; dziwi się tej nazwie. My jednak, ludzie socjalizmu, widzimy, jak człowiek nierozerwalnie łączy się z tworem swojej pracy. I dlatego tak symboliczne jest imię polskiego okrętu.

Wybrzeże nasze to oczywiście nie tylko okręty, ale również rozbudowane porty i zaplecza przemysłowe. W portach naszych nie ma wprawdzie lokali rozrywkowych pewnego typu jak np. znana tancbuda „Pod ostatnią szansą" w jednym z portów zachodniej Europy. W niczym nie przypominają one portu marsylskiego z jego spelunkami czy zaszczurzonej Antwerpii. Naprawdę w niczym. Budujemy bowiem, tak jak i w całym kraju, jasne domy; te domy, które widać na wzgórzach rozbudowującej się Gdyni — ze statku wpływającego do portu.

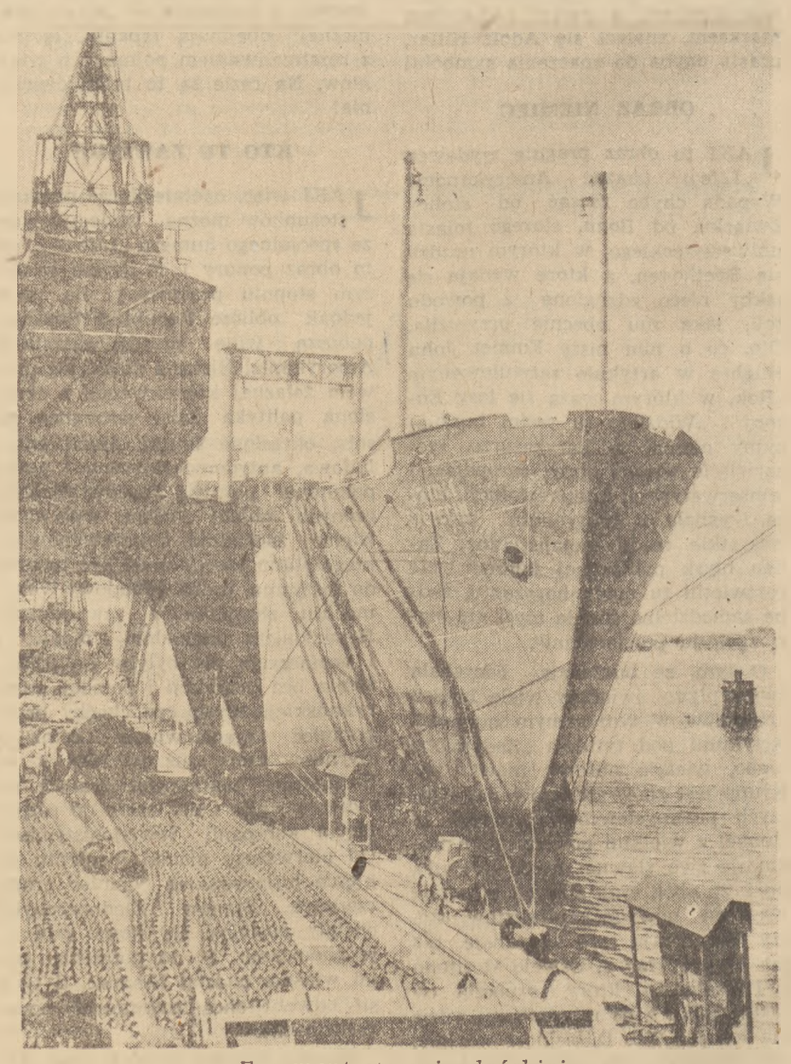

Fragment stoczni gdańskiej

Porty polskie zaliczane są do najsprawniejszych pod względem obsługowym na całym świecie. Wielkie zdziwienie ogarnęło kapitana statku „Alca", gdy dźwigowy Zdrojewski przeładował 550 ton w ciągu czterech godzin.

Każdy z naszych portów ma specjalne zadanie do spełnienia. Taki np. Szczecin, który za czasów niemieckich — panowie rewizjoniści — nie był w pełni wykorzystany i dysponował wcale nie wysoką techniką załadowczo - wyładowczą — dzisiaj ma wielkie dźwigi mostowe i spełnia ważne zadanie w tranzycie z Czechosłowacji i Węgier. Gdańsk, który w III Rzeszy zaczął podupadać — dzisiaj, mając właściwe zaplecze gospodarcze, rozwija się coraz bardziej jako nasz centralny port pełnomorski.

Rośnie także nasza flotylla rybacka udająca się na dalekie rejsy, z których przywozi tysiące ton śledzi i ryb morskich. Można by jeszcze mówić o wielkim rozwoju przemysłowym i rolniczym okręgów nadmorskich — nie jest jednak naszym celem przeprowadzenie w tym miejscu jakiejś analizy ekonomicznej. Chodziło nam bowiem o to, aby przypomnieć tylko nasze odwieczne związki z Bałtykiem. Wskazać, że nieustannie doń powracaliśmy, by naród stawał się silniejszy. Dziś umacniamy swoją pozycję nad Bałtykiem, aby na zawsze tu pozostać, bo taka jest wola socjalistycznego narodu.

JACEK ŁUKASIEWICZ

DROGA DO LUDZI

MÓWIĄC o prozie Bohdana Czeszki zróbmy eksperyment *), Załóżmy, że jest on reporterem.

Nazwałem prozę Czeszki reportażem, dlaczego? Otóż reporter rusza w teren uzbrojony w zapas wiedzy, jakże małej w porównaniu z tym, z czym się styka, choćby nawet był najmądrzejszym reporterem. Styka się z faktami historycznymi (zesłanie na Syberię socjalistów, akcja AL-u, powojenne trudności w miasteczku na Ziemiach Zachodnich, pożary lasów). Te fakty potrafi przewidzieć, zanim do nich pojedzie, co więcej, potrafi je sobie wpierw usystematyzować, wytłumaczyć niejako za biurkiem i ma prawo być przekonany, że rozwiązanie jego jest rozwiązaniem słusznym — posiada bowiem wiedzę historyczną o współczesności. W teren jedzie jedynie po to, aby zdobyć klimat. Ale nasz reporter jest dobrym reporterem, chce sprawdzić nie tylko klimat, ale i wiedzę. I oto staje w dziwnej sytuacji. Jego wiedza o świecie niby nie została naruszona a właściwie została. Sprawy układają mu się jak kostki w loteryjce. A właściwie układają mu się tylko ich kategorie historyczne, ich uogólnienia. Trzeba szukać wytłumaczeń w ludziach, w ich wzruszeniach. I tu zaczyna się benedyktyńska praca, przyrodnicza dociekliwość reportera. Trzeba śledzić ludzkie uczucia z przebiegłością detektywa. Zbieranie materiałów może być długie, a może nie dać wyników. Trzeba wychodzić z subiektywnej postawy obserwatora, która jest nieraz wygodnym parawanikiem dla braku rozwiązań, trzeba obiektywizować swoje punkty dojścia. Następuje to przeważnie drogą obiektywizacji narratora. Taką obiektywizację (pomogła tu chronologia) przeprowadzono w „Opowieści katorżniczej". Analizę przymusowych wczasów ludzi, będących ludźmi aktywnymi w swych rewolucyjnych założeniach przeprowadził Czeszko ogromnie skrupulatnie i dał w rezultacie coś w rodzaju zamkniętego studium o niszczącym klimacie zesłania.

W „Koralu" za to nie wyszedł poza kokon obserwatora, pokazał jakby sam proces zbierania materiałów do reportażu. Pozostawił cały szereg spraw nierozstrzygniętych.

I właśnie bardzo charakterystyczna dla „Krzewów koralowych" jest ta rezygnacja z wszechwiedzy autorskiej. Jakby obawa reportera, że wyjdzie poza krąg umotywowanych faktami fabuły domysłów, w krąg fikcji umotywowanej wiedzą ogólną: znajomością pewnych uogólnień bardziej szczegółowych czy też znajomością praw historii rządzących światem. Skąd się rodzi może ta obawa? Są dwa źródła: jedno psychologiczne — istnieją pisarze kameralni, impresjoniści, urodzeni noweliści. Ale to bardzo niebezpieczny eksperyment szufladkowanie pisarzy, zwłaszcza takich jak Czeszko; i drugie źródło historyczno-literackie — pewien antyschematyzm.

Jaka bowiem była główna cecha schematystów — piekielna wszechwiedza o wszystkim co piszą. Dużo nabroiły w tym rożne wydawnictwa i redakcje żądające, aby nie było niedomówień, aby nie było niejasności, aby pisarz wiedział o wszystkim. A pisarz nie jest astrologiem i musi albo złamać pióro albo też przyznać się do nieznajomości wielu rzeczy. Chodzi o pokazanie pewnych kierunkowych rozwiązań. Chodzi o tropienie człowieka. To tropicielstwo to jest właśnie wielka gra pisarza. Ale dzienniczek tropienia zapisywany metaforami ma jedną wadę — niedokładność metafor. Autor powinien starać się dawać możliwie najbardziej czytelne metafory konkludujące.

Czeszko zostaje w pierwszej osobie — pisze pamiętnik. Takie utwory jak „Kukułka" czy „Zwrócono mi Stare miasto" i „Koral" są zasygnalizowaniem problemu. Stwierdza w tym ostatnim opowiadaniu: „Tak oto prawie przypadkowo minąłem na swojej drodze człowieka, nazwiskiem Koral, wiosną roku 1948, kiedy minęło 160 lat od Wiosny Ludów". A potem... „Dla tego zwierzokrzewu o kolorze tak zbliżonym do koloru krwi ludzkiej żywię przyjaźń za jego cierpliwą odwagę w walce z tępym żywiołem — walkę zwycięską". I Koral pozostaje na boku. Na pierwszym planie wciąż jest autor, któremu trudno się było zobiektywizować w narratora.

I jeszcze jedna sprawa. Sprawa, która też jest powszechnie uznana za załatwioną. Czeszko postawił ją jako sprawę do załatwienia. Posłuchajmy początku opowiadania: „Wielka budowa i stary człowiek".

„Do tego miejsca nie dojedziesz niczym, ponieważ położone jest daleko, za szeroką, wartko płynącą rzeką, na kępie pomiędzy bagnistymi jeziorami, które powstały w ciągu długich lat". Na takich oddzielonych bagnami kępkach Bohdan Czeszko umiejscawia swego bohatera. Nie uznaje aprioryzmu zgodliwego współżycia ze społecznością w naszych warunkach.

A przeciwnie, epoka wielkich żarów historii przetwarza ludzi. Rzeczywistość nadrzędna dzieje się szybciej od losów człowieka. Nawet najbardziej wyrobiony — zdawałoby się — bohater, jak narrator z „Kłopotów władzy", musi ciągle szukać drogi współżycia z ludźmi. Tego współżycia uczą się również rewolucjoniści z „Opowieści katorżniczej" opisani w klinicznych warunkach zesłania i łamistrajk-niemowa z „Nocy odjazdu" a przede wszystkim stary człowiek, któremu wielka budowla może złamać utrwaloną namiastkę szczęścia, spokój na bagnistej kępie.

Czy jest to pogoń za komplikacjami? Nie. Bo okazuje się, że właściwie wszędzie, w każdym człowieku, droga tego co nazywamy „życiem uspołecznionym; dokładniej „zgodą z historią" a bez zachowania szerszych perspektyw „stosunkiem konkretnego człowieka do konkretnego człowieka" przebiega bardzo trudno, zwłaszcza w naszej epoce. Możemy to jeszcze przetłumaczyć na równoważnik ujęty w innej płaszczyźnie: droga miłości bliźniego postawiona w nowych kategoriach społecznych — nie jest łatwa. Dlatego, że te kategorie są takie nowe.

Jest w opowiadaniu „Żołnierz gospodarzem" postać chłopa Dymidki, który po gospodarsku przywiązał się do pięknej zarodowej krowy. Może ona służyć osiadłym w okolicach postoju batalionu — rolnikom. Wchodzi on w konflikt z ordynarnym, gburowatym rzeźnikiem Żmurką, chcącym na przekór Dymidce zarżnąć krowę. Postawa Dymidki jest słuszna i umocnioną wiekowymi tradycjami. Żmurko też nie spadł z nieba, też jest umotywowany społecznie, ale jest oprócz tego człowiekiem niedobrym, gruboskórnym. Stary konflikt przechodzi w nowe czasy. Dymidko szuka drogi do ludzi i znajduje ją krocząc starym szlakiem. Nowa epoka bowiem przejmuje tradycje, na których Dymidko został wychowany. Dialektyka miłości socjalistycznej bywa bardzo skomplikowana.

Istnieje specyfika sztuki pisania krótkich opowiadań. Ich diferentia specifica — to chyba ułamkowość wrażenia, jakiś krótki refleks światła, który po przeniesieniu na papier może natychmiast zrodzić w autorze obawę, iż nie jest to refleks najważniejszy. Z drugiej jednak strony ta ogromna ograniczoność spojrzenia jest także przywilejem. Nieraz wiele znaczy dla pisarza, jeśli może powiedzieć tylko trochę.

Ta forma krótkiego opowiadania może wyzwolić impresyjność — ułudę tych, którzy nie mają nic do powiedzenia. Pozwala ona cyzelować, daje się wykorzystać przez umiejętność wytwarzania klimatu, smaku, zapachu, barwy i kształtu rzeczy. Można mówić tylko o tych zewnętrznych przypadłościach przedmiotów i zjawisk, można cały nacisk położyć na wydobywanie spraw głębszych — istoty z tych przypadłości. Lecz nie jest to sprawą łatwą i wydaje się, że właśnie niedomogiem „Krzewów koralowych" jest brak konsekwencji.

Mamy w tomiku Czeszki obrazki z gatunku stojącego na pograniczu pomiędzy nowelą a prozą poetycką, takie kartki z notatnika jak „Wrócono mi Stare miasto", „Kukułka", czy nawet „Scena balkonowa", a obok tego większe konstrukcje o ambicjach rozwiązywania problemów: „Opowieść katorżnicza", „Żołnierz gospodarzem", „Wielkie budowle i stary człowiek" czy wreszcie „Koral". Trudno jest się przyzwyczaić czytelnikowi do tej różnorodności założeń. Nieraz chcemy doczytać losy ludzkie a są one ledwo zarysowane, choć rysunek podobnie jak u Tomaszewskiego — jest lekki i syntetyczny. Czeszko jest pełen nagłych, nieoczekiwanych twierdzeń. Błyskawicznych metafor. Są one bardzo przemyślane, bardzo odważne, ale przy tym hojnie nimi obdzielono wszystkie opowiadania. Klimat samotności spętanych zesłaniem działaczy na miarę europejską można niechybnie wyrazić w jednym zdaniu: „Jedyny kwiat tamtejszy to róża wiatrów". Czasem igła kompasu może być symbolem oddalenia i analogicznie — typowość ludzi nie zawsze jest wyznaczana ich ilustracyjnością do procesów historycznych. Nauką i wnioskiem końcowym może być stwierdzenie: każda rzecz jest typowa, tylko trzeba umiejętnie na nią spojrzeć.

*) Bohdan Czeszko „Krzewy Koralowe" 1954 Czytelnik. Okładkę i winiety projektował Henryk Tomaszewski.

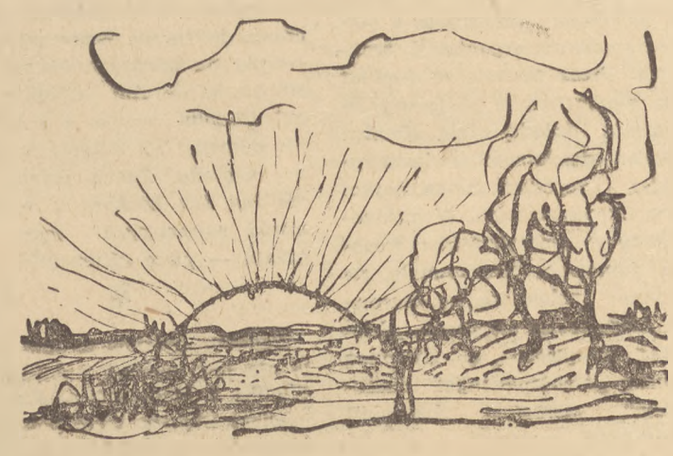

Rys. Barbara Jonscher

ANNA MARKOWA

CZEKANIA

Bo różne znasz czekania ... Jak różne wieczory
I poranki najmłodsze nasycone mgłą
Gdy łączysz w nich na nowo — jutro, dziś i wczoraj
To różne te czekania i — nierówne są

Skulonemu pod ścianą, gdy mu ostrym błyskiem
Stalowy deszcz przeorał ścieżkę aż do drzwi
Szarpało mrok czekanie na powrót ognisty
I z pięści zaciśniętych płynęło do krwi...

Palce zbudzone z dala od wczorajszej broni
Dobrym blaskiem zapalił zmartwychwstały próg
I dojrzewała ziemia zmartwychwstałym dłoniom
Plonem wzrosło czekanie, czekaniem jest — trud

Nie wolno, by wschodzącym ogromniało wiecznie
Troską o dni wydarte połamanym snom
Niech im będzie po pracy siódmym dniem świątecznym
I codzienną modlitwą za wznoszony dom.

Są wśród nas
Piewcy życia spowitego w kokon
Skrywający niepokój oczu
Za dalekość...
Za dalekość spojrzeń —
Własne dłonie misterną siatką
oddzielają ich —
I zwiewny ruch — szybą z lodu
Przez którą nie przejść
Naszym rękom ani naszym dniom

Są wśród nas
Dumni tkacze niewidzialnych kurtyn
Posplatanych z misternych uśmiechów
I słów barwnych
Nieważkich słów —
Przez odwrotną stronę lornetki
Nas maleńkich nie widzą — o gest
O gest jeden oddaleni —
Na dachu
Całkiem niskiej chatynki ze snu...

Są wśród nas
Uroczeni przez własną dalekość
Pychę oczu zaklętych w koło
Pychę oczu nie patrzących w dół —

Są wśród nas...
Trzeba im długo patrzeć
W ślepe oczy palonych przez napalm
I rybaków dotkniętych przez śmierć
Dla której oni — nie mają imienia...
Trzeba im długo patrzeć
By ich własne oczy — pokornie
Sfrunęły ziemi i ludziom do nóg —

EX LIBRIS

POCHWAŁA KSIĄŻKI

W liczbie najznakomitszych dzieł literatury światowej znajduje się niewielka książeczka, która na szczególniejsze zasługuje wyróżnienie. Nie oczarowuje ona czytelnika jakimś niezwykłym pięknem języka łacińskiego, w którym została napisana, ale pozycję swą zdobyła dzięki przepajającej ją głębi uczucia. Jest to pochodzący z r. 1344 traktacik p.t. „Philobiblon czyli o miłości do ksiąg".

Autorem tego, jedynego w swoim rodzaju dziełka, jest Ryszard de Bury. Urodził się on prawdopodobnie w r 1286, jako potomek normańskiego rodu rycerskiego. Po ukończeniu studiów w Oksfordzie został powołany na dwór królewski, gdzie pełnił obowiązki wychowawcy następcy tronu, późniejszego króla angielskiego, Edwarda III. Dobrze widocznie się wywiązywał ze zleconych zadań i musiał zyskać pełnię zaufania swego pupila, skoro ten po dojściu do władzy obdarzał Ryszarda najwyższymi godnościami aż do kanclerskiej włącznie. W hierarchii kościelnej również osiągnął wysoki stopień kardynalski.

Ryszard de Bury nie przeszedł do historii jako znakomity mąż stanu, choć często wyruszał w różnych misjach dyplomatycznych. Polityka nie była jego żywiołem, obce mu były przede wszystkim orężne zamysły królewskie, był miłośnikiem pokoju i jego dziełem było zawarcie traktatu pomiędzy Anglią i Szkocją, z którą Edward III popadł w zatarg.

Kardynał de Bury nade wszystko ukochał książki i całe swoje życie poświęcił na gromadzenie tych skarbów literatury i nauki. Marzeniem jego było stworzenie księgozbioru, który chciał z czasem przekazać oksfordzkiej wszechnicy, by mogli zeń czerpać miłośnicy studiów. Zawistne losy stanęły na przeszkodzie pięknemu zamierzeniu, pozostawił jednak Ryszard potomności inną pamiątkę — „Philobiblon".

„Żarliwe umiłowanie ksiąg tak potężną ma nad nami władzę, że gardząc wszystkim innym dobrem doczesnym, niczegośmy nie odczuwali, prócz namiętności do ksiąg gromadzenia. I traktat ten (na dwadzieścia podzielon rozdziałów) ulży nadmiarowi miłości naszej do ksiąg, rozpowszechni cel i zadanie gorących naszych usiłowań i szczegóły dzieła naszego w jasny przedstawi sposób. Ponieważ zajmuje się głównie miłością do ksiąg, przeto podobało nam się nadać mu, zwyczajem dawnych łacinników, grecki tytuł Philobiblon".

Człowiek, zdaniem Ryszarda, winien dążyć do doskonałości wewnętrznej. Pomocną w osiągnięciu tego celu jest mądrość, którą należy przenieść ponad wszystkie dobra. Skarbcem mądrości są książki, one więc zasługują na najwyższą ocenę. „Księgi posiadają więcej mądrości, niźli o niej wiedzą wszyscy śmiertelni, a mądrość lekce sobie waży bogactwo. Bogactwa służą przede wszystkim do podtrzymania ciała, gdy tymczasem zawartość ksiąg służy udoskonaleniu rozumu, to znaczy szczęściu człowieka, przeto jasnym jest, że dla człowieka, kierującego się rozumem, księgi większą mają wartość niż bogactwo".

Spod pióra kardynała de Burego wychodzi pochwała książek, godna stanąć obok najpiękniejszych fraz poetyckich.

„Wyście głębokimi kopalniami wiedzy, do których mędrzec posyła swego syna, aby wydobył z nich skarby. Wy jesteście jako te złote naczynia świątynne, jako bronie rycerzy ducha, ubezwładniających rycerzy zła; jesteście jako owoconośne oliwki, winnice engadyjskie, nie schnące nigdy drzewa figowe i lampy płonące..."

Człowiek jest szczytem stworzenia, ale równocześnie natura jego jest ułomna, umysł ludzki nie zawsze potrafi zrozumieć prawdę, wymaga więc cierpliwości i wyrozumiałości ze strony pedagoga, a takim pobłażliwym na wszystkie usterki wychowawcą i ustawicznie gotowym do użyczania wiedzy są tylko książki. „One są nauczycielami bez kija i rózgi, bez krzyku i gniewu, bez stroju i bez pieniędzy. Przychodząc do nich, nie zastajemy ich nigdy śpiącymi; gdy się ich pytasz, myśli swej nie ukrywają; nie łają, jeśli się mylisz; nie szydzą z ciebie, jeśli okażesz się nieukiem. O księgi, wy, co same jedne posiadacie swobodę, same pozwalacie nam z swobód korzystać, co dajecie wszystkim to, czego od was żądają i oswobadzacie wszystkich, wiernie poświęcających się waszej służbie".

Za tyle dobra, które doznajemy od ksiąg, winniśmy im najgłębszą wdzięczność Nie zawsze jednak postępujemy, jak należy. Tym to boleśniejsze, jeśli krzywda spotyka książki ze strony ludzi, którzy swe powodzenie zawdzięczają skarbom, jakie z nich zaczerpnęli. Niewdzięcznicy nie otaczają opieką powierzonych im ksiąg. Najbardziej jednak żalą się książki na brak poszanowania ich własnej osobowości, na traktowanie ich jako przedmioty martwe i bezduszne, a są przecież najpiękniejszym wykwitem umysłu ludzkiego.

„O innym jeszcze rodzaju hańby pragniemy donieść, poniżającej nie tylko naszą osobę, ale to, co dla nas jest najdroższym, nasze dobre imię. Kompilatorowie, tłumacze i przekładacze-nieuki obniżają dzień za dniem naszą dostojność, nadając nam nowe nazwiska autorskie. W ten sposób nasze dawne tracąc szlachectwo, marniejemy coraz to bardziej, ilekrotnie rodzimy się na nowo w naszych rozlicznych naśladownictwach; wbrew naszej woli przyczepiają nam imiona złych ojczymów i synom odbierają nazwiska ich ojców prawdziwych".

Najstraszniejsze krzywdy spotykają książnice w czasie wojen, tych największych klęsk ludzkości. Pełne tragizmu i bezmiernego żalu słowa wygłaszają udręczone książki: „Zaiste, nie ma godnego bólu dla dostatecznego opłakiwania ksiąg wszystkich, które dzięki okolicznościom wojny zmarniały na całym świecie. Któż nie drżał przed tymi niegodziwymi całopalnymi ofiary, gdy inkaust poświęcono krwi, gdy błyszczący śnieg szeleszczących pergaminów pokrywał się krwią, gdy płomienie trawiące niszczyły tyle niewinnych, z ust których nigdy kłamstwo nie wyszło, gdy ogień, nie szczędzący niczego, zamienił w popiół one tysiące pism, wieczystą głoszących prawdę. Wojna bowiem rozmiotła nas po cudzych krajach, straszliwie nas oszpeciła, poraniła i srogo okaleczyła, pogrzebała nas ziemia, zalało morze, pożarł ogień, zabiły nas rozmaite rodzaje śmierci i zniszczenia".

Taką więc modlitwę wznoszą książki do Boga: „Wszechmocny Twórco i Miłośniku pokoju, wypleń narody, które pragną wojny, więcej szkód przynoszące księgom, niż inne plagi ziemi. Albowiem wojny, stojące poza sądem rozumu, rozpętują wszelkie gwałtowności i wszelki gniew między walczącymi, a że nie kierują się sterem rozsądku, przeto bez różnicy niszczą naczynia, zawierające ten rozsądek".

Żeby stworzyć jak najlepsze warunki dla książek, których celem jest służba ludzkości, autor w kilku rozdziałach daje wskazówki należytej ich konserwacji.

Kardynał de Bury posiadał wspaniałą bibliotekę, którą gromadził wszelkimi sposobami. Nie był też wolny od słabostek, do których się pokornie przyznaje. Mówi bowiem, że można było doń trafić i uzyskać jego przychylność, ofiarowując mu książki. Tę ułomność wykorzystali zawistni. „Z powodu czci jaką otaczamy księgi, podlegamy oszczerstwom, to posądzają nas o pustą ciekawość, to o chciwość, to o próżność, a w końcu o brak miary w rozkoszowaniu się pismami".

Przeciwnicy nie szczędzili Ryszardowi kalumnii, zarzucając mu między innymi nieuctwo. Dokładna jednak analiza traktatu odpiera ten zarzut, z treści bowiem „Philobiblonu" wynika, że autor jego posiadał wykształcenie, jakie było możliwe do osiągnięcia we współczesnej mu epoce, a przede wszystkim odznaczał się wielkim zrozumieniem dla wiedzy; w wielu też miejscach swego dziełka wygłasza zdrowe sądy na tematy dydaktyczne i pedagogiczne. Petrarka, z którym Ryszard de Bury zetknął się na dworze papieskim w Awinionie, określa kardynała jako „męża płomiennego ducha i biegłego w naukach".

Dzieło Ryszarda przetłumaczył na język polski Jan Kasprowicz w r. 1921, w jego przekładzie przedstawiono wyjątki z „Philobiblonu". Nasz wielki poeta tymi słowy zaleca traktat:

„Nie sądzę, byś wykreślał, Czytelniku luby,
gorliwą miłość książek ze Swojej rachuby
i do rąk brał je tylko z musu lub dla mody,
idący z pospolitym przekupniem w zawody,
lub z nędznym groszorobem, dla którego, zda się,
zawarta w księgach mądrość bywa li na czasie,
jeżeli kryje oręż, by nim można zdobywać kupy złota, jawnie czy z ostrożna..
A gdyby prawdą było, żeś jest obojętny
na urok ksiąg, że z serca gorącymi tętny
nie idzie miłość ku nim, to, mówię Ci z góry,
nauczy Cię je kochać Kardynał de Bury".

Tadeusz Brzostowski

„MAM MILIONY PRZYJACIÓŁ"

— Charles Chaplin, bohater Dickensa — tak nazwał Pierre Leprehon rozdział poświęcony dzieciństwu Chaplina.

— Samotna wielkość genialnego realisty — zatytułował fragment poświęcony Chaplinowi włoski publicysta Luigi Chiarini.

— Szekspir przedmieścia — nazwał go Louis Delluc.

— Artysta, który wszystkim ludziom na całym świecie może śmiało patrzeć w oczy — pisał o Chaplinie francuski krytyk Lo Duca.

— Ludzie wszystkich krajów wyrażają Panu swój hołd — powiedział witając Chaplina we Włoszech Cezare Zavattini. W tym konkursie uwielbienia każdy chce być pierwszy. Pozostaje mi powtórzyć Pana zdanie, że nie trzeba wątpić w przyszłość świata, jeśli tylu ludzi nie znających się wzajemnie, obcych, wyznających najróżniejsze poglądy, poznaje się i godzi dzięki zrozumieniu pańskiej sztuki i miłości dla Pana talentu.

— Nikt w Europie nie był tak entuzjastycznie, manifestacyjnie witany — pisał po przybyciu Chaplina do Anglii sprawozdawca Daily Workera — jak ten zaocznie wysiedlony z Ameryki artysta. Przez trzydzieści prawie lat jego twórczość przynosiła nie tylko jemu, ale i kinematografii amerykańskiej sławę i dobre imię. Przez trzydzieści lat amerykańska kinematografia widziała w nim intruza i niewygodnego cudzoziemca i nie mogła mu przebaczyć tego, że pozostał wierny swemu talentowi i swoim poglądom, że nie dał złamać swego geniuszu.

— Sztuka musi służyć prawdzie — powiedział Chaplin w czasie swojej ostatniej wizyty we Włoszech. — Potrzeba twórczości artystycznej powinna wynikać z miłości do ludzi — nie z nienawiści. Trzeba kochać ludzi i ich nieustannie poznawać. To cały mój program artystyczny i cała moja polityka.

Według Chiariniego Chaplin jest jednym z niewielu artystów, w którego ustach takie ogólnikowe i patetyczne sformułowania nie brzmią fałszywie. Cała bowiem jego twórcza droga jest wyrazem wierności realistycznemu i humanistycznemu programowi. Chaplin jest jedynym twórcą filmowym, który przez prawie czterdzieści lat swojej pracy artystycznej nigdy nie ulegał żadnym pokusom formalistycznym. Stworzył swój odrębny styl, podporządkowując zawsze formalną stronę filmów ich treści, zachował swoją indywidualność artystyczną właśnie dlatego, że był konsekwentnie wierny postawie realistycznej.

*

— Znany z ekranu Charlie, mały człowieczek, który ze swoim melonikiem i laseczką, ubrany w za duże buty idzie charakterystycznym krokiem szeroką pustą drogą — zjawił się na świecie w 1914 r. — zaczyna swoją książkę o Chaplinie Georges Sadoul. — Jego twórca, Charles Spencer Chaplin urodził się 1889 r. w Londynie.

W odległych latach mojego dzieciństwa poznałem głód, lęk jutra, nieustającą obawę przed następnym dniem. Powodzenie i dobrobyt nigdy nie zdołały mnie uwolnić od pamięci tego lęku. Jestem człowiekiem napiętnowanym świadomością nędzy, pamięcią upośledzenia — pisał Chaplin.

W najwcześniejszym okresie swego dzieciństwa Chaplin przeszedł najboleśniejszą szkołę bezdomności, upośledzenia i krzywdy. Jako pięcioletnie dziecko stracił ojca. Matka, która występowała jako aktorka w music-hallu, została bez pracy. Próbowała zarabiać szyciem.

— Jej nędzne zarobki — pisze Chaplin — ledwo wystarczały na nasze wyżywienie. Nie mieliśmy jednak pieniędzy na zapłacenie mieszkania. Wiele razy przenosiliśmy nasze dwa materace, trzy plecione krzesła i mizerne tobołki, wyruszając na poszukiwanie nowego pokoju.

Pewnego wieczoru, kiedy wróciliśmy razem z bratem do domu, zastaliśmy pokój pusty. Chłopcy na ulicy powiedzieli nam, że po południu matka zaczęła pukać do drzwi sąsiadów i trzymając w ręku kawałek węgla mówiła: Macie, chcę wam ofiarować piękny prezent... Była nieprzytomna. Nie dawała się zaprowadzić do mieszkania. Wezwano policję. Przyjechała karetka pogotowia i dwie pielęgniarki zabrały ją do szpitala dla umysłowo chorych. Sidney i Charles błąkali się przez kilka dni na ulicy. Wreszcie dostali się do schroniska dla bezdomnych dzieci. — Jeśli chcemy wyobrazić sobie życie chłopców w przytułku — pisze Pierre Leprehon — przypomnijmy sobie rozdziały opisujące sierociniec w Oliwierze Twiście.

Po dwóch latach Hannah Chaplin, wyleczona, zabrała dzieci do domu. Dziewięcioletni Charles zaczął razem z bratem zarabiać. Był pomocnikiem fryzjera, próbował swoich sił w cyrku, śpiewał i tańczył na ulicy, zbierał odpadki na targowisku i wreszcie w 1902 r. zaczął regularnie występować w music-hallu.

W 1907 r. zaangażowany do trupy teatralnej Freda Karno grał podrzędne role w wielu pantomimach. W 1910 r. razem z całym zespołem występuje we Francji. W 1911 wyjeżdża razem z częścią trupy na półroczne tournée do Ameryki. Drugi pobyt zespołu Freda Karno w Ameryce przynosi Chaplinowi wielki sukces.

Zostaje zaangażowany przez Adama Kessela do wytwórni filmowej Keystone. Występuje najpierw jako statysta, kilkakrotnie zmienia sylwetkę odtwarzanej postaci, wreszcie na wiosnę w 1914 r. ukazuje się po raz pierwszy w za dużych butach, z laseczką, w meloniku, tworząc typ Charliego, któremu przez wiele lat będzie wierny.

*

W 1920 r. Charles Chaplin został zaproszony na uroczyste przyjęcie, urządzane na cześć sławnego boksera. Potężny siłacz witając się z Chaplinem zapytał:

— A Pan czym się zajmuje?

— Jestem aktorem filmowym.

— Życzę Panu, aby Pan w przyszłości został drugim Chaplinem.

Po pierwszej wojnie światowej postać Charliego była popularna nie tylko w Ameryce, ale na całym świecie. W tym samym czasie Chaplin musiał rozpocząć trudną walkę o swobodę swoich przekonań i wolność swojej sztuki. Już w 1917 r. antywojenny film Chaplina „Na ramię broń" stał się przedmiotem gwałtownych ataków (ukazał się na ekranach w wersji bardzo skróconej na żądanie producentów). W 1919 r. prasa koncernu Hearsta rozpoczęła zorganizowaną kampanię antychaplinowską.

Od tego czasu wielki artysta był nieustannie przedmiotem ataków i oszczerstw. Metody takiego prasowego prześladowania charakteryzuje chociażby historia cytowana przez Sadoula w jego książce „Vie de Charlot".

W 1922 r. po długich staraniach Chaplin uzyskał zezwolenie na sprowadzenie do Ameryki swojej matki. Hannah Chaplin przybyła do Stanów Zjednoczonych z sekretarzem syna, który opiekował się nią w czasie męczącej podróży. Badana przez władze imigracyjne dostała szoku nerwowego i odmówiła zeznań. Została przez agentów imigracyjnych zatrzymana na osławionej Ellis Island. Natychmiast prasa koncernu Hearsta zaczęła umieszczać artykuły z wielkimi tytułami: Chaplin jest tak skąpy, że

Scena z filmu „Dyktator"

zgadza się na internowanie swojej matki, której pozwolił podróżować pod pokładem na statku dla wychodźców.

Przez trzydzieści lat osoba wielkiego artysty była otoczona atmosferą nienawiści, oszczerstw i ataków wszystkich organizacji reakcyjnych. Przez ostatnie dziesięć lat trwały nieprzerwanie oficjalne prześladowania władz, ataki Komisji do badań działalności antyamerykańskiej, zupełnie jawny bojkot filmów Chaplinowskich. W momencie kiedy w amerykańskim środowisku filmowym rozpoczynały się histeryczne „polowania na czarownice", kiedy toczył się proces „dziesięciu z Hollywood", a Chaplina nazywano „niebezpiecznym cudzoziemcem", „wrogiem Ameryki", „podejrzanym agentem" — wielki artysta opublikował pełną godności wypowiedź:

...Ja, Charles Chaplin, oświadczam, że Hollywood umiera. Film hollywoodzki nie ma nic wspólnego z tym co uważa się za sztukę, ale jedynie z produkcją tysięcy kilometrów taśmy... Dzieła sztuki nie dadzą się produkować taśmowo jak traktory w fabryce. Sądzę, że nadszedł czas, aby skierować się na nową drogę, na której pieniądz nie będzie wszechmocnym bogiem dekadenckiego środowiska.

Być może, opuszczę Stany Zjednoczone mimo mojego związku materialnego i moralnego z tym krajem. Niemniej tu właśnie, gdzie chciałem skończyć swoje życie, pragnę wszystkim przypomnieć, że jestem człowiekiem takim, jak inni ludzie i ponieważ nim jestem, mam prawo do takiego samego szacunku, jak obywatele tego kraju.

*

Nagroda Pokoju jest pierwszą międzynarodową nagrodą, którą otrzymał ten największy twórca filmowy świata. Żaden z jego filmów nie był nigdy w Ameryce odznaczony, żaden nie reprezentował Ameryki na międzynarodowych festiwalach. — Ani Chaplin aktor, ani Chaplin reżyser i scenarzysta nie doczekał się dotychczas oficjalnej nagrody. Żaden jednak aktor nie był tak kochany i popularny wśród najszerszych mas całego świata — pisze l'Humanité.

*

Nadmiar cytatów w tym artykule nie jest manierą publicystyczną. Wynika z konieczności. Nie tylko bowiem większa część polskiej publiczności, ale i większość publicystów i krytyków zna twórczość Chaplina tylko ze słyszenia, zdjęć i książek.

LESZCZ

KSIĄŻKI:
recenzje omówienia

STEFAN KIENIEWICZ. SPRAWA WŁOŚCIAŃSKA W POWSTANIU STYCZNIOWYM. WROCŁAW 1953. ZAKŁAD IM. OSSOLIŃSKICH. STR. 410.

Problem chłopski w powstaniu 1863 roku był niejednokrotnie omawiany w dawnej literaturze historycznej, nie został jednak nigdy należycie oświetlony, gdyż dziejopisarstwo owczesne unikało uwypuklenia klasowego aspektu tego zagadnienia. Obecnie, w ramach generalnej rewizji oświetleń naszych dziejów, wymaga on nowego potraktowania. Podjął się tego najbardziej powołany specjalista ruchów społecznych połowy XIX wieku — prof. Stefan Kieniewicz.

Z góry zaznaczyć należy, że autor stanął na wysokości postawionego sobie zadania, dając jedną z najlepszych prac historycznych, które ukazały się w ciągu ostatniego roku. Operując z umiejętnością ogromnym materiałem archiwalnym i publicystycznym prof. Kieniewicz rzucił nowe światło na skomplikowane stosunki społeczno-polityczne Królestwa w przeddzień i podczas powstania styczniowego. Główną jego zasługą jest wskazanie na decydującą rolę żywiołowo szerzącego się ruchu chłopskiego przeciwko panszczyźnie w splocie polityki rządu carskiego, aktywności różnych odłamów społeczeństwa polskiego i sytuacji międzynarodowej, co w swej całości składało się na wybuch i tragiczną katastrofę jego powstania.

Autor słusznie cofa się do naszkicowania dziejów sprawy włościańskiej w Królestwie od czasów skasowania poddaństwa w Kodeksie Napoleona, podkreślając, że oddanie realizacji tej połowicznej reformy w ręce samej szlachty doprowadziło do pogorszenia się sytuacji chłopów w wyniku szeroklego stosowania rugów z ziemi dla powiększenia gospodarstwa dworskiego. Specjalnie zatrzymał się na okresie „Wiosny Ludów", kiedy rząd carski, obawiając się szlacheckich ruchów powstańczych, wydał dekrety biorące częściowo pod ochronę ludność włościańską, co było pierwszym krokiem na drodze ograniczenia patrymonialnego władztwa szlachty nad chłopem. W tym czasie stosunki gospodarczo-społeczne były już dojrzałe do przejścia gospodarki rolnej na tory kapitalistyczne, więc powstawało zagadnienie, czy proces ten dokona się rewolucyjnie, czy też na „drodze pruskiej", a więc przede wszystkim kosztem włościan.

Sytuację komplikował fakt, że rząd carski chciał wziąć inicjatywę w uwłaszczeniu, aby zdyskontować to dla pozyskania mas chłopskich przeciwko tendencjom niepodległościowym nowotworzącej się burżuazji polskiej, lecz jednocześnie bał się bardziej zdecydowanych kroków w tym kierunku wobec zaangażowanych interesów donatariuszy rosyjskich w Królestwie i obawy niepożądanych odgłosów społecznych na terenie Rosji. Z drugiej strony ziemiaństwo polskie, w odłamie zdającym sobie sprawy z konieczności reform, chciało je przeprowadzić, najbardziej dla siebie korzystnie. Uważało ono, że należy dojść do tego współpracą polityczną z caratem („grupa Wielopolskiego"), podczas gdy średniomajętna większość zmuszona liczyć się z agitacją powstańczo-niepodległościową żywiołów postępowych (czerwoni), szła na współpracę z burżuazją miejską (tworząc obóz tzw. białych), aby przez nominalne wzięcie w swe ręce sprawy reform i udział w ruchu narodowym zachować ster wypadków i zabezpieczyć się przed rewolucyjnymi ruchami społecznymi.

Prof. Kieniewicz wykazuje, że każdy krok w kierunku częściowych i nie wystarczających dla włościan kolejnych reform wymuszony był na ziemianach i rządzie carskim przez szerzący się żywiołowo chłopski ruch oporu, który przybierał czasami wręcz formę bezpośredniej akcji rewolucyjnej. Wybuch powstania, przyśpieszony przez rozgrywki między „białymi" i grupą Wielopolskiego, nie pociągnął za sobą od razu szerokich mas chłopskich, gdyż jego przywódcy, w swej przeważającej większości, nie rozumieli głębokiego znaczenia sprawy chłopskiej. I chociaż ogłosili dekret o, stosunkowo, jak na tamte czasy radykalnym, uwłaszczeniu, nie poszli na jego stanowcze realizowanie w imię głoszonych haseł solidarności narodowej, traktując chłopstwo jako środek, a nie jako jedynie właściwy czynnik walki narodowo-wyzwoleńczej.

Pomimo poniesionej klęski militarnej powstanie nie przeszło bez echa. Rząd carski widział się zmuszony przeprowadzić uwłaszczenie, w skali zbliżonej do aktu rządu powstańczego, a więc znacznie szersze niż w Rosji. Wykorzystał to jednak dla urabiania chłopów w duchu antypowstańczym i antynarodowym, co w rezultacie opóźniło formowanie się w nich poczucia świadomości narodowej i konieczności walki z caratem dla definitywnego zrealizowania swych praw społeczno-narodowych.

Nie wszystkie aspekty zagadnienia zostały przez autora w dostatecznej mierze oświetlone i nie wszystkie jego tezy szczegółowe można by było przyjąć bez żadnych zastrzeżeń. Lecz w całości omawiane dzieło jest poważnym wkładem w studia nad problematyką powstania styczniowego. Z książką prof. Stefana Kieniewicza powinni się zapoznać wszyscy interesujący się dziejami naszego kraju w tym okresie.

S. Z.

KONCERTY

O RAVELU KLASYKU MONIQUE HAAS i SYMFONII PIEŚNI

Narodowości francuskiej, z pochodzenia Duńka — Monique Haas uosabia najwybitniejsze cechy francuskiej kultury muzycznej i stanowi błyszczące ogniwo tradycji Cortotów, Thibaudów, Marguerite Long i Bruchelleric. Blask tej sztuki, lekkość, wdzięk, specyficzne „esprit" nie pomniejsza jej głębi. Równie szlachetnie oddaje ona powściągliwą surowość — dawnych mistrzów, (Domenico Scarlatti — sonata), jak efektowną barwność — współczesnych.

Koncert G-dur Ravela — Monique Haas da się porównać chyba tylko z prawykonaniem paryskim z roku 1931 — Marguerite Long, z Maurice Ravelem jako dyrygentem. Był takim jakim widział go kompozytor: „koncertem w najściślejszym tego słowa znaczeniu, napisanym w duchu Mozarta i Saint-Saënsa... świetnym, wesołym i stworzonym na fortepian, a nie przeciw niemu".

Gdy patrzę z perspektywy ćwierćwiecza na te dwa wykonania, dostrzegam coś jeszcze, coś bodaj najważniejszego. Dzieło przetrwało „annorum seriem et fugam temporum". I gdy Marguerite Long epatowała słuchaczy świeżymi plamami świateł i barw wielkiego impresjonisty — dzisiaj, choć żadna z barw nie przyblakła i ani jeden promień słońca nie opuścił obrazu — Monique Haas dała nam już (specjalnie w odniesieniu do muzyki czasów najnowszych) pełnego prostoty i umiaru — Ravela-klasyka. Mądra i wykwintna, oparta na długoletnim przemyśleniu, interpretacja pokazała i klasyczną powagę Mozarta i burleskową lekkość Saint-Saënsa, bez, jak ironicznie mówił Ravel: „sztucznej" głębi „i uganiania się za dramatycznymi efektami".

Z nastrojem Koncertu harmonizowała całkowicie, haftowana delikatną nicią starych gobelinów, suita Tadeusza Bairda „Colas Breugnon". Raz jeszcze przeżyliśmy radości i smutki rollandowskiego bohatera i odczuliśmy ich ciepłe, ludzkie tętno. Dlatego też może zbyt silnie kontrastowała z klimatem Ravela i Bairda wykonana po raz pierwszy „Symfonia pieśni" Kazimierza Serockiego. Symfonia ta, w której zasadniczą, niemal koncertującą rolę odgrywa chór, ma właściwie charakter kantaty. Potężna, niepozbawiona pewnej brutalności, witalność kompozytora stwarza obrazy o wielkiej sugestywności. Mam na myśli przede wszystkim świetne scherzo („wesele jedzie"), jaśniejące całym blaskiem współczesnych środków kompozytorskich.

O całości powiedziałbym jednak, że jest mniej nowoczesna niż się spodziewałem. Zdaję sobie sprawę, że wpłynęło na to w znacznej mierze oparcie dzieła na artystycznie przetworzonym folklorze, co zmusiło kompozytora do utrzymania ducha pieśni ludowych, a nawet do stosowania chwilami archaizacji stylu.

Widocznie francuskie „esprit" pierwszej części koncertu podyktowało jednemu ze słuchaczy określenie, że: „zanim doszliśmy do wesela (III część), byliśmy już przemęczeni", przytłoczeni rozmiarami utworu. Z mojej strony poza wątpliwością co do samej nazwy „symfonia" powiedziałbym, że dzieło przytłacza właśnie ilością, różnorodnością i spiętrzeniem środków.

Wszechstronne możliwości talentu Serockiego, niewątpliwa pasja twórcza, doskonała znajomość aparatu wykonawczego i niezawodna polskość melodyki, są dla wszystkich widoczne — oczekiwać wypadnie już tylko pewnego umiaru, równowagi i jednolitości środków.

Antoni Górski

Scena z filmu „Światła wielkiego miasta"

KAZIMIERZ STEFCZYK

MIASTO Z „AWANSU"

PAMIĘTAM to miasto sprzed wojny jako niekoniecznie czystą, a już na pewno nie powabną prowincjonalną dziurę. W zatęchłej atmosferze małego podwórka, w której można by umieścić śmiało akcję gogolowskiego „Rewizora", mieszkały wówczas panny, korespondujące permanentnie z redakcją „Kina" i nadsyłające pretensjonalnie upozowane fotografie do rubryki „Czy jestem fotogeniczna"; mieszkali wówczas bohaterowie małomiasteczkowych dramatów obyczajowych i intryg, których nici wiodły do buduarów jakiejś pani aptekarzowej czy naczelnikowej; mieszkali adwokaci, zbijający majątki na naiwności procesujących się kmiotków.

W tym mieście — o którym dziś we wspomnieniach chętnie mówiłbym jako o „miasteczku" — znalazłem się raz jeszcze w pierwszych dniach września 1939 roku. Stałem wówczas we wnęce bramy na tzw. rynku. W zenicie niebios wyzłoconych słońcem brzęczały niemieckie bombowce. Przez środek rynku gnała skłębiona rzeka pojazdów uciekinierów. Miasto wydało mi się wówczas nie tylko szpetne, lecz i bezmiernie smutne.

Padał deszcz, kiedy z początkiem czerwca bieżącego roku odwiedziłem to miasto po raz trzeci. Znowu przystanąłem pod bramą jednej z kamienic, naprzeciwko dworca. Ze stacji płynął nieprzerwany tłum ludzi — robotników, urzędników, młodzieży. I wtedy zobaczyłem, że przyjechałem do innego miasta, niż to, które znałem ongiś. Zrozumiałem, że Rzeszów dzisiejszy różni się tak od Rzeszowa przedwojennego, jak różni się nasz ustrój od sanacji.

Szedłem powoli ulicami miasta, które dumnie obnosi dziś swoją rangę wojewódzkiego grodu. „Miasta z własnym lotniskiem" — jak objaśnił mnie dumnie jeden z Rzeszowiaków. Notowałem w myślach: Ulica Obrońców Stalingradu — rozbudowana. Ulica Jagiellońska — jedna z najładniejszych w Rzeszowie. Aniemiczny dawniej Park Miejski — dziś rozszerzony o przeszło trzy morgi gruntu. Wyrosły fabryki zatrudniające tysiące ludzi. Zrozumiałem wtedy, że moje zdziwienie na widok płynących ze stacji tłumów wyrażone w słowach — „zupełnie jak w Warszawie czy Stalinogrodzie" — było źle sformułowane. Należało by powiedzieć — „zupełnie jak w Rzeszowie"...

W Rzeszowie istnieje już nowe wielkie osiedle WSK, wyposażone w piękny, nowoczesny dom kultury. Odbywają się tam regularnie przedstawienia rzeszowskiego teatru. Do tego osiedla trzeba iść z centrum miasta szybkim krokiem około 20 minut. Odbyłem ten spacer, ponieważ chciałem zobaczyć na scenie „Grzech" Żeromskiego. Na pewno niejedno można było temu przedstawieniu zarzucić, zwłaszcza, gdy dość świeże jest jeszcze w pamięci wrażenie ze spektaklu warszawskiego. Wątpliwości moje rozproszył entuzjazm publiczności, która gorąco przyjmowała i oklaskiwała każdy akt. Jedno jest pewne, teatr rzeszowski zrobił na tym terenie i robi w dalszym ciągu tzw. dobrą i pożyteczną robotę.

Rozmawiałem z aktorami, którzy w dniu 14 maja rb. wyjechali w stały objazd cyrkowym (sic!) wagonem kolejowym, ze sztuką „Imieniny pana dyrektora", w reżyserii Borowskiego. Przemierzyli Jasło, Krosno, Sanok, Iwonicz, Brzozów, Zagórz, Lesko i Ustrzyki Dolne—aby na kilka dni odpocząć w Rzeszowie przed dalszą turą objazdową. Odpoczynek był zresztą przymusowy: po prostu do Dębicy przyjechał cyrk, więc „konkurencyjni" artyści z teatralnego wozu cyrkowego postanowili odczekać, aż prawdziwi cyrkowcy opuszczą miasto. Na aktorów czekał z kolei Mielec, Stalowa Wola, Łańcut, Przemyśl i Leżajsk.

I pomyśleć, że jeszcze przed dziewięciu laty był w Rzeszowie tylko teatr amatorski, założony przed wojną przez niestrudzonego entuzjastę Melpomeny prof. Adama Ruczka. Prasę rzeszowską reprezentowało wówczas — przed wojną — wychodzące raz na tydzień pismo. Dzisiaj wychodzi codziennie „Dziennik Rzeszowski", którego redakcja najwyraźniej szuka drogi do czytelnika. Widać to z każdej szpalty gazety.

Zanim poszedłem do szkoły obchodzącej w tym roku 300-lecie istnienia, zanotowałem jeszcze w notatniku parę cyfr: od roku 1945 przybyło w Rzeszowie około 5 tysięcy nowych izb mieszkalnych, a w ciągu najbliższych pięciu lat rzeszowski „Miastoprojekt" wybuduje dalszych 15 tysięcy izb. Do roku 1959 będzie w Rzeszowie: wyższa szkoła rolnicza, ośrodek doskonalenia kadr oświatowych, 4 szkoły zawodowe z internatami, 5 szkół podstawowych i 10 nowych przedszkoli.

PRZY kościele pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, którego akt fundacyjny datuje się z roku 1645, wybudowana została później szkoła do dziś dnia istniejąca. OO. Pijarzy sprowadzeni do Polski w roku 1654 przez hetmana polnego koronnego, ks. Lubomirskiego, poszerzyli klasztor i stworzyli tę szkołę. Zarówno kościół jak i szkoła posiadają znamiona stylu budowania charakterystycznego dla Holendra Tylmana z Gameren, nadwornego architekta króla Jana Sobieskiego. Początkowo była to szkoła dwustopniowa; szkoła niższa (odpowiadająca naszemu gimnazjum) i seminarium czyli nowicjat dla kleryków. Dziś mieści się tutaj gimnazjum i liceum im. ks. Stanisława Konarskiego.

To nie nazwa bez pokrycia. W gronie zasłużonych nauczycieli tej szkoły znajdował się w latach 1736 — 1738 ks. Stanisław Konarski, światły reformator i postępowy pedagog. Uczył on w Rzeszowie historii, geografii i wymowy.

Konarski — to nie jedyny ślad postępowości tej szkoły. Inne dowody znalazłem w doskonale zachowanych katalogach szkolnych, z których najstarszy nosi datę 1788 roku. Okazało się, że kiedy zada sobie człowiek trud rozszyfrowania łacińskich zapisków robionych skrzętnym piórem wszystkich kolejnych dyrektorów uczelni, wychodzi na jaw ciekawy szczegół. Na kilka lat przed Konstytucją 3 Maja na uczelni rzeszowskiej studiowali synowie ludu czyli „plebejusze" (jak ich wówczas nazywano). Prześledzenie losów tych plebejuszów — to nader ciekawe studium obyczajowo-społeczne. Ograniczę się, z braku miejsca, do małego przykładu: w roku 1800 było na uczelni 90 szlachciców (oczywiście: synów szlachciców), 69 mieszczan, oraz aż 27 plebejuszów. W roku 1808 odkryłem ponadto — dwóch chłopów pańszczyźnianych, obok dwóch dzieci. A więc, zdawało by się — równość klasowa... Ale już dalsze katalogi rozwiały moje złudzenia. „Plebejusz" awansował wówczas rzeczywiście, dopuszczony do studiów na równi ze „szlachetnie urodzonymi" — lecz awansował tylko pozornie. Bo oto w katalogu szkolnym z roku 1806 znalazłem następującą wzmiankę: Maciąg Jan, lat 19, z Dzikowca, wpisany do klasy III, ignobilis (czyli niskiego pochodzenia), po roku studiów występuje z gimnazjum z powodu ubóstwa... To samo niejaki Nowak Maciej, lat 14, z Kraczkowej...

Zdarzały się też przedziwne „metamorfozy". Oto Szulisz Jan, lat 15, z Ropczyc, w katalogu z roku 1806 notowany jako „ignobilis" (niskiego pochodzenia), w katalogu z roku 1807 występuje jako „agricola" (rolnik), a w katalogu z roku 1808 — już jako „subditus" (poddany), przerywając niechlubnie swoje studia, jako syn chłopa pańszczyźnianego, w roku 1809...

EMIL Głuszczyk ma lat 15 i uczęszcza do klasy 9-ej. Uczy się dobrze, chociaż dojeżdża codziennie do szkoły ze wsi Świlcza koło Rzeszowa, oddalonej o przeszło 8 kilometrów. Emil wygląda na pierwszy rzut oka jakby „do trzech nie umiał zliczyć". Dopiero w rozmowie z nim wychodzi na jaw, że pod pozorami zalęknienia kryje się wysiłek uporczywej pracy nad sobą. Trudno rozszyfrować człowieka dorosłego podczas jednego spotkania — tym trudniej ocenić młodą duszę, w której wszystko jest jeszcze stawaniem się, zapowiedzią. Emil chciałby być leśnikiem. To już nie zachcianka, a wybór, potwierdzany doskonałymi notami z biologii i geografii.

Cenię Emila za jego osobliwą pewność, z jaką argumentował mi słuszność wyboru swego przyszłego zawodu. Nie decydowały ani względy materialne, ani ambicja — on po prostu lubi przyrodę. Na ogół spotykałem wielu młodych ludzi, którzy postanawiali zostać czymś, co dawało im odbicie od dotychczasowego środowiska. Tak jakby sama zmiana tego rodzaju dawała im poczucie awansu społecznego. Stąd zapewne ten owczy pęd do studiów inżynieryjnych u młodzieży wiejskiej — pęd do miasta jako do „czegoś lepszego". A Emil właśnie wybrał las. Awansem, który w pełni docenia, jest sama możność studiów bez przeszkód i obawy o brak pieniędzy na „czesne" — tę zmorę przedwojennej młodzieży. Gdyby Emil urodził się przed dwoma wiekami, miałby obok swego nazwiska niechybnie wpisane słowo „plebejusz". Ojciec jego jest robotnikiem, który w pewnym momencie swego życia przemienił się w chłopa. Droga z fabryki Cegielskiego na rolę wiodła poprzez przeżycia okupacji, doświadczenia przedwojennego bezrobocia i powikłania rodzinne. Niecałe dwa hektary, które uprawia i pomoc u kowala we wsi wystarczają akurat na utrzymanie pięciorga dzieci, z których wszystkie — za wyjątkiem najmłodszego „pędraka", co ledwo od ziemi odrósł — uczęszczają do szkół. Życie Emila toczy się między domem rodzinnym, szkołą i wiejską świetlicą, w której z zapałem gra w szachy oraz czyta książki wypożyczane z biblioteki wiejskiej liczącej ok. 3 tysięcy tomów. Mimo wszystko jednak, niezbyt dobrze dzieje się w tej wiejskiej świetlicy, skoro Emil chodzi tam tylko na szachy. Pytałem go o inne formy oddziaływania kulturalno - oświatowego w jego rodzinnej wsi, lecz nie umiał mi na te pytania dać jasnej odpowiedzi.

A tymczasem podczas pewnego spotkania z dziennikarzami na krótko przed rozpoczęciem „Dni Oświaty, Książki i Prasy" powiedział ktoś w rzeszowskim Komitecie Wojewódzkim: „Chodzi o to, aby tegoroczne uroczystości i imprezy nie stały się krótkotrwałą, przemijającą akcją, po zakończeniu której wraca się do starych przyzwyczajeń i błędów". Sprawa ze świetlicami w rzeszowskim, oraz praca kulturalno - oświatowa wykazuje jeszcze sporo takich błędów. Zwłaszcza w PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych woj. rzeszowskiego natknąć się można na poważne niedociągnięcia pod tym względem. Treść i forma pracy kulturalno - oświatowej wciąż jeszcze, niestety, szwankuje w wielu słabszych ośrodkach wiejskich. Może rzeczywiście tegoroczne „Dni Oświaty" popchną tę sprawę naprzód? Można tak sądzić, opierając się na tym, czego dokonano przez 13 dni czerwca — „Dni Oświaty".

Powiatowe i związkowe Domy Kultury dopomagały w pracy ośrodkom wiejskim. Spotkania z czytelnikami stały się ważnym ogniwem ogólnej akcji. Pisarzom, którzy zjawili się w województwie rzeszowskim nie chodziło o zdawkową pochwałę ich dzieł, lecz o ocenę ich przez czytelnika wiejskiego i poddanie nowych pomysłów twórczych. Zarząd Wojewódzki ZSCh w Rzeszowie zorganizował cały szereg spotkań z literatami. W wiejskim Domu Kultury w Twierdzy (pow. Krosno) w spotkaniu wziął udział B. Kogut, autor książki „Zbuntowani", a w spółdzielni produkcyjnej w Wietlinie — autorka „Buraczanych liści", Maria Jarochowska. Podobne wieczory literackie z udziałem Jana Wiktora, Banasia i Jalu Kurka odbyły się w gromadach powiatu przemyskiego, mieleckiego i dębickiego.

Na „Dni Oświaty" przypadło też zakończenie wielkiej imprezy — IV etapu konkursu czytelniczego na wsi. Do tego konkursu zgłosiło się na terenie województwa rzeszowskiego ponad 43.000 osób. Rozdano liczne nagrody i dyplomy uznania. W bibliotekach powszechnych, szkolnych i związkowych, oraz w świetlicach wiejskich — gminnych i gromadzkich — urządzono wystawy książek. Poczesne miejsce znalazła tam fachowa literatura rolnicza.

Mój notatnik rzeszowski pozostawiam otwarty — rezygnując ze zdawkowych ogólników i stawiania kropki nad „i". Rzeszów nie potrzebuje panegiryków i zachwytów. Rzeszów jest miastem młodym, miastem w pełni rozwoju. Ten wojewódzki gród „z awansu" zdaje egzamin swojej wartości. Zaglądniemy tam znowu za jakiś czas, kiedy rumieńce cegieł nowych osiedli nie będą już przyciągały wzroku pasażerów samolotu komunikacyjnego, bo nie będą już odbijać od jednolitej barwy białych tynków wtopionych w zieleń parków miejskich. Na razie „młodość" Rzeszowa jest jeszcze „odkryciem" dla tych, którzy znali go jeszcze tak niedawno, jako zaśniedziałe miasto „Polski B", bez perspektyw rozwojowych i przyszłości.

WACŁAW GLUTH NOWOWIEJSKI

SPÓR O MUZYKĘ KAMERALNĄ

Zastanowiły mnie usłyszane niedawno słowa pewnego studenta: „Cóż z tego, że od czasu do czasu urządzane są koncerty muzyki kameralnej; muzyki tej nie rozumiem, nie lubię, nie chcę słuchać". Ta jednostkowa ocena objęta rzeczowym: „nie chcę" jest kapitalnym wizerunkiem społecznej oceny muzyki kameralnej. Bez ankiet, testów, poza sferą dociekań teoretycznych wiemy, że głos studenta indywidualisty znajduje wierne echo w głosie mas. Mówi o tym obraz życia muzycznego, nieretuszowana odbitka naszych zainteresowań. Rola Kopciuszka, jaką odgrywa w tym życiu twórczość kameralna, wytwarza nieco dziwną sytuację. Okazuje się bowiem, że mamy w tej dziedzinie piękne tradycje: własny przemysł lutniczy, cenionych kompozytorów, świetnych wykonawców, więc wszystko oprócz... słuchacza. Słuchacz zawziął się i uparcie powtarza: „nie".

Program muzyczny w Polskim Radio, instytucji będącej wykładnikiem muzycznych potrzeb kraju, najpełniej obrazuje skutki tego veta. Trio, kwartet, kwintet, zgodnie z zamówieniem społecznym, zajmują w programie ostatnią pozycję. Analogiczny obraz telewizuje Filharmonia, gdzie frekwencja na koncertach kameralnych przypomina nieraz najchudsze okresy kanikuły. Wystarczy przypomnieć niedawny występ kwartetu czechosłowackiego. Wiele dni wcześniej sygnalizowany i reklamowany koncert przyniósłby niewątpliwą kompromitację, gdyby nie „pomoc" zapełniających salę Ministerstwa Kultury i Sztuki, profesorów i uczniów warszawskich szkół muzycznych, członków orkiestry Filharmonii i... pracowników ambasady czechosłowackiej.

Podobną publiczność, więc przewagę ludzi zawodowo związanych z muzyką, oglądać można na wszystkich innych koncertach kameralnych. W ten sposób muzyka dawnego salonu, mimo łatwego, zrozumiałego języka, wbrew istotnym jej celom i dążeniom, staje się znowu własnością elity, światłem dla wtajemniczonych. Czy rola, w jaką ją wtłoczono, uznana została za naturalną i słuszną? Dosadnej i szczerej odpowiedzi udziela na to pytanie młodsza generacja, zatykająca uszy na dźwięk tria Haydna i głosząca bez żenady dobę „polki spod Kalisza" i sentymentalnych tang. Obrońcy operetki czy jazzu, polemizujący na łamach prasy, reprezentują bardziej dojrzały sąd. Ich zdaniem „musica ad camera" jest po prostu „sztuką rzępolącą". A cóż na to oficjalny sympatyk „muzyki poważnej"? Oburzy się, uniesie wobec takich epitetów, a w cichości ducha... przyzna im rację. O podwójnym jego obliczu mówią przytoczone wyżej przykłady, przy czym frekwencja na koncertach najpełniej.

Przeciwnicy twórczości kameralnej, jak i bierni ich kolaboranci, odbierają prawa rozwojowe sztuce, która potrafi przemawiać niemniej pięknie niż wieloinstrumentowe orkiestry symfoniczne. Niemniej pięknie. Wystarczy zapytać o to Beethovena, Glucka czy Webera, Haydna, Brahmsa czy Żeleńskiego. Wystarczy na występie zespołu czechosłowackiego posłuchać dumki czy romanzy z kwartetu Es-dur Antoniego Dworzaka. Trzeba tylko pójść.

Twórczość kameralna sięga w Średniowiecze. Wykonywana w komnatach dworskich, w odróżnieniu od śpiewów kościelnych i opery, z rozwojem instrumentacji przyjmuje formę dziś znaną. Wkraczając do salonów staje się na czas pewien ich królową, bon ton'em, modą. Przemiany społeczne, rozwój muzyki, a przede wszystkim znaczne jej upowszechnienie przenoszą twórczość kameralną do sali koncertowej. Odtąd, zdobywając największą popularność wśród sfer mieszczańskich, staje się własnością wszystkich. Dzięki specyficznej budowie, wymagającej zaledwie trzech, czterech, czy pięciu instrumentów, przenika w życie prywatne jako muzyka domowa. Najlepszym przykładem są Niemcy, gdzie obok bogatego programu kameralnego, obok specjalnych teatrów wykonywających wyłącznie tego rodzaju utwory, muzyka kameralna często uprawiana bywa rodzinnie, lub w ramach kilku rodzin. A ile u nas, poza rodem Wiłkomirskich, jest takich rodzin?

Konserwatyści, zabierający czasem głos w sprawach muzycznych, tłumaczą ignorowanie twórczości kameralnej rozrostem płytkich form, tak zwanej muzyki lekkiej. Sąd ich jest jednostronny, skrajny i nie ze wszystkim słuszny. Popularność jakiegoś dzieła nie stanowi oczywiście o jego wartościach. Może być ona zjawiskiem przypadkowości, sugestii, bądź po prostu niewyrobienia odbiorców. Popularność zbioru dzieł, różnorodnie występującego „pluralis", jest już oceną wykraczającą poza ramy psychozy. Mówiąc krótko, konserwatyści nie mają racji. Muzyka lekka może stać się pożyteczną, wartościową, może zdobyć ostrogi sztuki, pod warunkiem, że będzie naprawdę dobra (uwaga pod adresem twórców i wykonawców) i trafnie oceniana (uwaga dla odbiorcy). Twierdzenie, że utwory taneczne, rozrywkowe, czy popularne wypierają muzykę kameralną, mija się z prawdą. Charakter tych sztuk jest tak różny, że właśnie sprzyja jednoczesnemu i niezależnemu ich istnieniu oraz rozwojowi. Przyczyny niepopularności muzyki kameralnej należy szukać gdzie indziej, a drogowskazem powinny stać się znów słowa studenta. Jego: „nie rozumiem" wyjaśnia wszystko.

Na zakończenie recepta. Instytucje, powołane do propagowania muzyki powinny, mimo ryzyka finansowego, pomnożyć ilość koncertów i audycji kameralnych. Im częściej zetknie się najbardziej nawet niechętny słuchacz z kameralną formą tria czy kwintetu, tym szybciej odkryje i zrozumie w niej nie rzępolenie, ale melodię, barwę, wyraz i ciepłą intymność nastroju. Wtedy można już przestać zabiegać o niego. Wtedy też inaczej nieco przebiegać będzie temat rozmyślań.

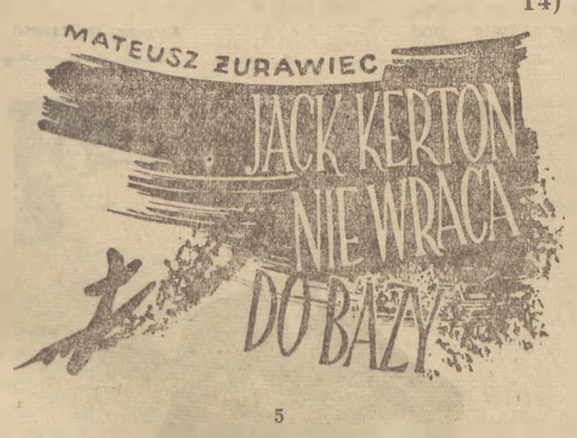

5

14)

Noc blakła, gwiazdy wsiąkały w blednący granit nieba. Kerton widział ich kilka w prostokącie okna, przymknął oczy — zdawało mu się, że trwało to chwilę — gdy uniósł piekące powieki, gwiazd już nie było. Rozejrzał się po izbie. To nie ta izba, w której spędził kilka miesięcy. No tak, tamta spłonęła wraz z całym skrzydłem baraku. Ale w tej izbie chyba kiedyś był? Coś mu przypominał stół z mikroskopem, ściana z upstrzoną kolorowymi kółkami mapą. Usiłował przywołać we wspomnieniach konkretne fakty, ale w ostatniej chwili wszystkie odbiegły gdzieś w odległą niepewność.

Wstrząsnął nim chłód. Piec wystygł prawie zupełnie. Rozcierając ręce, z trudem uwierzył swoim obliczeniom, z których wynikało, że za oknami budzi się przecież dzień przedwiosenny.

Obok niego otrząsał się ze snu otulony płaszczem żołnierz. Przecierał skośne oczy, patrząc na Kertona. Kerton — nie wiedząc czemu — rozchylił usta w uśmiechu. Ale uśmiech zastygł mu na wargach, gdy dostrzegł w skośnych oczach twardy, zimny blask.

„Za szybko chcę przeskoczyć to co jest".

Wbrew własnym wyjaśnieniom poczuł wezbrany nagle smutek i żal. Postanowił unikać spojrzenia żołnierza, który najprawdopodobniej miał go eskortować w dzisiejszej podróży. Wsadził ręce za pazuchę kurtki, grzejąc je ciepłem własnego ciała. Palcami namacał kopertę z listem do Betty.

„Jak ja jej to wszystko wytłumaczę?"

Żołnierz kucnął przy drzwiczkach pieca. Roztrącił na pół zczerniałą grudkę żaru i nadął policzki, dmuchając dla ożywienia płomieni. Zmrużył oczy przed okruszynkami popiołu. Dołożył na ogień. Powoli zahuczało w palenisku, parsknęło iskrami.

Kerton przysunął się do kręgu ciepła. Żołnierz położył karabin na kolanach i patrzył w żar. Po pucołowatej, chłopięcej twarzy skakały mu płomienne refleksy, w oczach grała złotymi połyskami, odbita w pomniejszonych żużelkach, czerwień buzującego ognia.

Prostokąt okna napinał się bladością nieśmiałego błękitu. W Kertonie tajał chłód nocy. Ciepło miękkimi falami ogarniało całe ciało. Wraz z ciepłem obudziła się ufność w nadchodzący dzień.

Przypomniał sobie, że jeszcze wczoraj wieczorem, zanim tu go przyprowadził ten pucołowaty strażnik, Wu-czen zgodził się, by poszli razem do Mac Gleena.

Leżał nieprzytomny, z twarzą bez kropli krwi, z ciemną wstęgą niedogolonego zarostu na brodzie. Lekarz nie pozwalał nawet się nad nim pochylać. Podobno istniała nadzieja powrotu do życia. Wczoraj Kerton nie wierzył.

Teraz wierzy. „Wyjdzie z tego. Chłop silny. Uszło mu wiele krwi, ale wytrzyma. Na pewno wytrzyma".

Potem zupełnie bez związku pomyślało mu się, że przecież sierżant nie brał w rachubę swej śmierci, jakby to miało tym samym wykluczać jej niebezpieczeństwo.

Za oknem zaperkotał motor. Żołnierz wyprostował się, zwracając zaróżowioną twarz ku drzwiom.

Wszedł Wu-czen z małym, pękatym człowieczkiem w watowanym tołubie. Ten pękaty był szoferem, trzymał w dłoni jednopalczastą rękawicę, na czoło miał zsunięte celuloidowe okulary od kurzu.

Wu-czen oznajmił sucho, że samochód jedzie do Jong-Kangu. Stamtąd nastąpi przerzut do Phenianu. Za dwa dni do Phenianu przybędzie międzynarodowa komisja. Czas ruszać.

Przez chwilę oczy zza wypukłych szkieł spoczęły na twarzy Kertona. Kertonowi zdawało się, że ujrzał w nich jakieś wezwanie czy nawet prośbę, chciał coś powiedzieć, ale Wu-czen zacisnął usta, podszedł do mapy i wskazując trzy czerwono-żółte kółka, powiedział niby w pustą przestrzeń:

— To z nocy 11 stycznia. W tych trzech kółkach zginęło 216 osób, 102 kobiety, 55 mężczyzn, 59 dzieci.

Zamilkł na chwilę, palcem wskazał najmniejsze kółko i dodał:

— W tym kółku znaleziono pana.

Poprawił okulary, zwrócił się całą twarzą do Kertona, otworzył usta, chcąc dalej mówić, ale zrezygnował, odwrócił się szybko plecami i wyszedł na dwór.

Żołnierz wskazał Kertonowi drzwi. Kazał mu iść przodem. Kerton usiadł wśród drewnianych skrzyń, wtulił głowę w kołnierz kurty, żołnierz kucnął naprzeciwko. Kierowca rozgrzał motor, rzucił korbę do szoferki i ruszyli.

rys. Andrzej Pol

Radziecki „Zis" kołysał się na resorach, prychał spalinami, wreszcie na gładszej drodze wyrównał swój chybotliwy, monotonny rytm. Tylko na zakrętach zarzucał ostro. Wtedy głowa podskakiwała Kertonowi do góry, oczy bezmyślnie fotografowały falisty, jeszcze nie tryskający zielenią obraz.

Na jednym z zakrętów wyskoczył z nieruchomego krajobrazu żywy punkt. Kerton w krótkim momencie zapisał na tęczówce przyjazny gest dłoni chłopa orzącego swe półko wśród wielkiej ciszy budzącego się dnia.

„Nie wiedział, kto jedzie. Kiwał ręką jak dziecko, gdy mija je wąż pociągu" — pomyślał Kerton. Z ogromnym wstydem pragnąłby ten ufny, zwyczajny gest móc zatrzymać dla siebie.

Wytężył wzrok. Figurka chłopa poganiającego wołu zmalała już do mikroskopijnych rozmiarów. Nowy zakręt zabrał ją spojrzeniu.

Kerton nie pochylał już głowy. Zanurzał twarz w coraz mniej chłodny strumień wiatru.

Po obu stronach rozciągającej się wstążki drogi wyrastały uśpione jeszcze domki, obracały się na osi pędu liniowane równymi zagonami pola, wyskakiwały gołe jeszcze konary krępych dębów i gładkich modrzewi. Motor dławił się lekką zadyszką przy zmianie biegów, wracał jednak po chwili do monotonnej melodii równo grającego motoru.

Kerton odchylił twarz ku niebu. Płynęła nad nim coraz większa jasność. Wsłuchiwał się w nabrzmiewający szept myśli. Rosły w nim, zwierały się coraz mocniej, czuł, że oddala się od nocy, że coraz bliżej jest dnia. Przerażała go radość dojrzewających postanowień. Kąsał go jeszcze strach, chlastał wstyd, ale powtarzał, że jedzie drogą, wywodzącą z manowców.

Przymknął oczy. Samochód kołysał się na wybojach. Motory rzęziły przy ciężkiej wspinaczce na górę. Z trudem dociągali do szczytu. Mocny wstrząs rozchylił mu powieki. Spojrzał nad siebie.

Coś się zmieniło. Szofer włączał drugi bieg. Ciężki „Zis" z ulgą zjeżdżał po pochyłości wzgórza. Na kresie horyzontu zamajaczyły domy Jong-Kangu.

Kerton zrozumiał zmianę: świat obejmowała pożoga świtu.

KONIEC

EDMUND MISIOŁEK

KLASOWY EGOIZM I JEGO OFIARA

Andrzej Łapicki (Kazimierz) i Irena Horecka (Latter) w „Pensji Pani Latter" w Teatrze Współczesnym w Warszawie Fot. C.O.P. i A.

NAWET choćby nie znało się innych opracowań scenicznych „Emancypantek", uznać można to, które przedstawili nam — w inscenizacji i reżyserii Erwina Axera w Teatrze Współczesnym — Jarosław Iwaszkiewicz i Jerzy M. Rytard, za nadzwyczaj udane. Zwracam jednak uwagę na zawarte w myślnikach zastrzeżenie. Prawdopodobnie w wykonaniu wielu innych teatrów tak podane „Emancypantki" okazałyby się nieporozumieniem. We Współczesnym kształt sceniczny i charakter adaptacji najściślej do siebie przylegały, i w sumie, jeśli pominąć niedogodności wynikłe „z przyczyn technicznych", z małej sprawności filigranowej sceny obrotowej, spektakl stał się nieprzeciętnym sukcesem.

Sztuki Iwaszkiewicza stanowią u nas wyjątkowo wyraźny przykład twórczości scenicznej typu niedramatycznego. Ten powieściopisarz pozostaje w gruncie rzeczy i na scenie epikiem. W wypadku historii pani Latter nie mogło zresztą być inaczej — z kimże ona walczy, poza własnym losem? Axer wyciągnął z tego wniosek dla inscenizacji tych „obrazów dramatycznych podług I tomu Emancypantek", jak określili autorzy swe dzieło. Zaprezentował „Pensję pani Latter" jako teatr konsekwentnie epicki, choć naturalnie nie bez dramatycznych spięć i nastroju. Lecz przyjąwszy taką sceniczną koncepcję, musiał — choćby mimo woli i choćby częściowo — nawiązać do czołowej współczesnej dramaturgii i teatru epickiego. Mowa oczywiście o teatrze Bertolda Brechta. Nawiązanie to, nawet gdyby nie było tak bardzo dyskretne i samodzielne, jak to widzieliśmy w teatrze przy Mokotowskiej, jeszcze byłoby zaszczytne i cenne.

Przypomina nieco rozwiązania Brechta z Szekspira się wywodząca umowność dekoracyj (Otto ia Axera), podobnie jak i przyjęcie pewnej stałej „przestrzeni łączącej", jak leitmotiw spajającej scenograficznie sztukę. W „Matce" Gorkiego - Brechta była nią wolna przestrzeń ulicy, na której pojawiała się ze sztandarem w marszu i śpiewie grupa walczących proletariuszy. W o wiele bardziej kameralnej „Pensji pani Latter" przestrzeń ta łączyła się z proscenium i wyobrażała na ogół korytarz pensji (dochodziły wtedy „realistyczne" drzwi, lecz bez ścian), choć czasem miała znaczenie mniej ściśle określone, a w scenie końcowej oznaczała nawet „wolną okolicę" nad rzeką w pobliżu dworu Mielnickiego, dokąd usiłuje schronić się pani Latter. Wiele przelotnych spotkań i krótkich scenek odbywało się właśnie w tej przestrzeni, często w ciemności, co wzmagało jeszcze wrażenie ujęcia filmowego, tak również bliskiego teatrowi Brechta. I tu współgrała z nim — zwłaszcza w inscenizacji krótkich obrazków — ostra pointowość odpowiadająca zwięzłej celności wielu dialogów adaptacji.

W umowności tej i skrótowych ujęciach zachowali jednak, zarówno reżyser jak i scenograf, chwalebny umiar. Pamiętali zawsze o przedstawianej epoce, wymagającej zgodnie z mieszczańskim gustem bardziej pełnego realizmu i statycznej nobliwości. Jeśli więc krótkie scenki „łączące" wyrażały — w sposób więcej filmowy — przemijanie czasu; właściwe, dłuższe obrazy podkreślały moment trwania, rozpaczliwego opierania się czasowi. Taki sens miała przede wszystkim świetna dekoracja z gabinetem przełożonej, w którym przez wiele scen ukazuje zza biurka spokojne oblicze dostojna, władcza pani Latter, do końca usiłująca panować nad sytuacją. Znakomita gra mimiczna Ireny Horeckiej, z owym niezrównanym „klasowym" uśmiechem wyższości, nie mogła lepiej wyrazić istoty społecznej sprawy sztuki, tego dążenia za wszelką cenę do utrzymania pozycji, do powstrzymania nieuchronnego upadku.

Zgodnie z koncepcją reżysera i autorów adaptacji gra Horeckiej nie służy jednak jakiemuś czysto socjologicznemu ilustracjonizmowi. Jest w niej głębszy ludzki sens. W spektaklu Teatru Współczesnego pani Latter jest — to prawda — postacią spóźnioną, prześciągniętą przez przemiany czasu. Pada ona jednak ofiarą nie tylko gospodarczej epoki przejściowej, lecz przede wszystkim — własnego klasowego egoizmu. Widz głęboko współczuje pani Latter jako nieszczęśliwej matce, nowoczesnemu wariantowi Króla Lira; widz rozumie, że złe tradycje klasy ziemiańskiej utrwaliły w niej i jej dzieciach uroszczenia, które, gdy zapanował kapitalizm, stały się ich zgubą. Lecz widz nie uwalnia jej od odpowiedzialności, nie uważa jej za ofiarę niewinną. Pamięta bowiem, że uroszczenia pani Latter i młodych Norskich urzeczywistniały się z krzywdą bliźnich: Dębickich, dam klasowych, służby pensjonatowej; z duchową krzywdą ich samych: taką krzywdą wobec siebie jest zawsze egoizm. Problem społeczno - ekonomiczny okazuje się więc problemem etycznym, w dalszej zaś perspektywie, ukazanej już i w I tomie „Emancypantek", nawet problemem religijnym. To, czego nie powiedziało pani Latter doświadczenie społeczne ani naturalna etyka, mówiła jej wszakże od dziecka religia, nakazując miłować bliźniego jak samego siebie. Lecz religijność i sens bezinteresowności zamarły w niej od dawna, nacisk obyczajów klasy i brak wyższych dążeń uczyniły ją duchowym bankrutem:

„Nieszczęśliwa jestem... najnieszczęśliwsza z matek, bo nawet nie nauczyłam was modlić się... Tamten nie wierzy w nic, drwi... ty wątpisz, czy Bóg usłyszy modlitwę, a ja... nawet nie umiem cię przekonać... Zaczyna się dla mnie dzień sądu z wami i ze wszystkim..."

Pani Latter przyzywa Boga już tylko po to, aby potwierdził i ocalił jej społeczną pozycję. „Emancypantki" są w wielu momentach również ciekawym obrazem ostatecznej defensywy chrześcijaństwa w epoce władztwa pieniądza i kultu użycia.

Te wszystkie złożone uczucia, jakie budzi postać pani Latter, Horecka wygrała z niezawodnym wyczuciem stylu i rasy. Linia tej roli rozwijana była z wielką konsekwencją, a potęgujące się tony rozczarowania, goryczy, w końcu zaś rozpaczy i na pół obłędu uczłowieczały istotę zbyt dumną okupując niejako jej winy, przynosiły tę katharsis, jaką daje prawdziwa sztuka.

Drugą — i kontrastową — wielką rolą sztuki jest rola Madzi. Dawno nie oglądana na scenie Zofia Mrozowska obdarzyła swą Madzię szlachetnością i przewrażliwieniem, a przy tym umiała również oddać — chyba poniekąd wbrew własnej artystycznej osobowości — jej żywość i zmienność nastrojów. Osiągnięcie tym cenniejsze! Zastrzeżenia mogła niekiedy budzić gra mimiczna, zwłaszcza że charakteryzacja dość nieszczęśliwie podkreślała jakiś nieprzyjemny grymas w twarzy skłonnego do łez dziewczątka. Bardzo interesująco oddała Mrozowska rys wzruszającej pokory wobec otoczenia, rys chronicznego spłoszenia sprawiający, że jej usłużna wobec wszystkich Madzia jest stale jakby tylko w przelocie, jakby się wszystkim usuwała z drogi.

Wśród pozostałych ról przedstawienia są takie, które wyobrażaliśmy sobie zapewne inaczej, np. Zgierski w wykonaniu Lecha Ordona, Solski — Stanisława Bielińskiego, przede wszystkim zaś Dębicki, który w świetnie przez Stanisława Kwaskowskiego zagranej scenie opuszczenia klasy budził głęboką litość, lecz którego chyba mało kto z czytelników wyobrażał sobie aż tak postarzałym i odartym z wszelkiego uroku. Lecz są i tak świetnie obsadzone role, jak panny Howard (Halina Kossobudzka), czy tak sugestywnie grane, jak Eugeniusza Lattera — Tadeusz Białoszczyński, Joanny — Barbara Drapińska, studenta Kotowskiego — Bogdan Niewinowski czy lichwiarza Fiszmana w ujęciu Michała Meliny, choć ujęcie to przez swój jakiś odcień ekspresjonistyczny, niesamowity wyrywało się trochę z całości spektaklu. Uwaga też na nową rolę Danuty Dukwicz-Przesmyckiej! — epizodyczna postać Zosi ma w jej wykonaniu tyle wyrazistości i życia, że pozwala od tej młodej aktorki oczekiwać w przyszłości osiągnięć dużej miary.

Przedstawienie jest aktorsko (a również kostiumowo!) kłopocząco bogate, już tylko wymienić trzeba artystów tak wytrawnych, jak Aleksandra Śląska i Andrzej Łapicki (Helena i Kazimierz Norscy), Halina Czengery (Solska) i Hanna Bielicka (Korkowiczowa). Cały zespół aż do ról najdrobniejszych daje tu, jak już częściej w tym teatrze, koncert gry aktorskiej, służącej pod batutą reżyserską Erwina Axera niezawodnie dobru całego spektaklu. Był to spektakl błyskotliwy i nawet liczne a przydługie zaciemnienia przy zmianie obrazów na scenie obrotowej nie były w stanie świetności tej przyćmić.

List do Redakcji

Wielokryptonimowy (płaż) w 22 numerze „FILMU" z br. poświęca aż 30 wierszy petitu mojej rzekomej pomyłce w felietonie o filmie meksykańskim „Czas w słońcu" (w 19 n-rze naszego pisma). Ze zdziwieniem dowiaduję się, że zdjęcia do filmu „Pepita Jimenez" robił nie Figueroa tylko „niejaki Alex Phillips". I po dokonaniu tego epokowego odkrycia (tak wynika przynajmniej z objętości polemiki) z triumfem (płaż) stwierdza, że mojej wypowiedzi trudno przypisać bardziej trwałe wartości. Gdyby to był naprawdę błąd, wypadałoby powiedzieć czytelnikom — przepraszam, ale sprawa wygląda w ten sposób: że film „Pepita Jimenez" — tak jak podałem w swoim artykule poprzednio — reżyserował Fernandez, a zdjęcia kręcił Figueroa. A na dowód przytaczam źródła, w których można to sprawdzić: „Gabriel Figueroa, Mexican Cinematographer", Washington 1950 i „Bianco e Nero" nr 4, Rzym 1951.

Wydaje się, że poważnych recenzentów obowiązuje rzetelność nie tylko w artykułach, ale również w ich „podchwytliwych" krytykach.

Andrzej Odolański

KILKA SŁÓW

o plastyce

MARCIN SZANCER PRZYGOTOWUJE ILUSTRACJE DO POMNIKOWEGO WYDANIA „PANA TADEUSZA"

Jeden z najwybitniejszych polskich grafików- ilustratorów, laureat Nagrody Państwowej, Jan Marcin Szancer, opracowuje nowe cykle ilustracji do arcydzieł naszej literatury. Artysta zbiera materiały dokumentalne i robi szkice ilustracji do „Pana Tadeusza", który ma się ukazać w pomnikowym wydaniu w związku z Rokiem Mickiewiczowskim. Od roku Szancer pracuje również nad ilustracjami do „Trylogii" Sienkiewicza, która ukaże się w czwartym kwartale bieżącego roku.

POCZĄTKI SZTUKI FRANCUSKIEJ

Dużym wydarzeniem paryskiego sezonu wiosennego stała się otwarta niedawno w Bibliotece Narodowej wystawa francuskich manuskryptów iluminowanych pochodzących z okresu od VII do XII wieku.

Zgromadziła ona 340 bogato zdobionych foliałów, a także pewną liczbę kopii malarstwa ściennego z tej samej epoki, wypożyczonych z Muzeum Budownictwa Francuskiego. Zbiory te pozwalają na dokonanie bardzo ciekawych porównań między sztuką iluminatorską a freskiem.

Jednym z najstarszych i najciekawszych zabytków pokazanych na tej wystawie jest manuskrypt „Quaestiones in Heptateuchon" świętego Augustyna, którego strona tytułowa jest pięknie i bogato iluminowana, a także Ewangelie pochodzące z epoki przed panowaniem Karolingów. Rozpoczynają się one Ewangelią świętego Marka, a na początku każdej księgi jest pięknie wykonana iluminacja przedstawiająca symbol poszczególnych Ewangelistów.

WĘGIERSKA I POLSKA WYSTAWA W PARYŻU

Dwie wystawy pochodzące z krajów demokracji ludowej otwarto ostatnio w Paryżu. W miejskim Muzeum Sztuki Współczesnej Węgierska Republika Ludowa zorganizowała wystawę, na której zgromadzono około 40 obrazów reprezentujących dorobek 32 malarzy tego kraju. Dzieła niektórych z tych artystów znane już były Paryżanom (na przykład Bertalona Pora, który spędził okres okupacji we Francji). Ogólnie jednak biorąc, jest to najbogatszy wybór sztuki węgierskiej, jaki kiedykolwiek Paryżanie mieli możność oglądać.

W Szkole Sztuk Pięknych natomiast studenci Ośrodka Studiów Zagadnień Architektury zorganizowali wystawę dotyczącą odbudowy Warszawy. Myślą przewodnią tego pokazu, na którym zgromadzono wiele plansz, wykresów, rysunków starej i nowej Warszawy oraz fotografii jest zapoznanie studentów francuskich z osiągnięciami współczesnej architektury polskiej.

o muzyce

„FIDELIO" W MOSKIEWSKIM TEATRZE WIELKIM

2 czerwca odbyła się na scenie filii Akadem. Teatru Wielkiego premiera opery Beethovena „Fidelio" („Leonora"). Wyreżyserował spektakl B. Pokrowski, scenografia — A. Konstantinowski, kierownictwo muzyczne — A. Melik-Paszajew. W rolach głównych wystąpili N. Pokrowskaja, G. Nelepp, A. Iwanow oraz I. Masiennikowa i P. Czekin. Premiera stała się dużym sukcesem teatru.

ODNALEZIONA OPERETKA OFFENBACHA

Dyrektor Opery Lipskiej, Heinrich Voigt, odgrzebał niedawno stary zniszczony egzemplarz suflerski z r. 1871, który okazał się sztampowym opracowaniem niemieckim zapomnianego cacka Offenbacha, „Księżniczki Trapezuntu". Po dokonaniu zabiegów przywracających librettu pierwotną świeżość i celność powstało w inscenizacji Voigta widowisko błyskotliwe i pełne życia, będące zgodnie z akcją operetki parodią życia warstw bogatych i pochwałą pracy.

KSZTAŁCENIE NIEWIDOMYCH MUZYKÓW

Mało kto u nas wie o zorganizowaniu studiów muzycznych dla niewidomych na terenie Polski. W istniejącej od roku 1952 w Krakowie Podstawowej Szkole Muzycznej dla Niewidomych kształcą się najbardziej uzdolnione jednostki, które na skutek nieszczęśliwego przypadku utraciły wzrok. 80 proc. spośród uczniów tej szkoły obdarzonych jest niezmiernie rzadką cechą, a mianowicie — absolutnym słuchem. Nauki udzielają pedagodzy o wysokich kwalifikacjach, a podręczniki i nuty drukowane są przez drukarnię Polskiego Związku Niewidomych. Absolwenci przejdą z kolei do średniej i wyższej szkoły muzycznej, studiując razem z widzącymi kolegami.

W tej chwili jest w toku sprawa przygotowania specjalnego ośrodka kształcenia na terenie Krakowa, dla wybitnie uzdolnionych niewidomych muzyków. Z nich będą rekrutować się artyści estradowi. Jak wiadomo, jest u nas spory zastęp niewidomych artystów i nauczycieli, jak np. śpiewak — Ryszard Gruszczyński, pianista — Edwin Kowalik, laureat festiwalu bukareszteńskiego, prof. Bielajew, Skibówna i inni. Za granicą, w Czechosłowacji, pracuje aż 55 niewidomych profesorów muzyki.

BUDOWA FILHARMONII W BYDGOSZCZY

Przy zbiegu ulic Libelta i Słowackiego w Bydgoszczy stanie piękny gmach Pomorskiej Filharmonii. Ostatnio podjęte zobowiązania przyniosą w efekcie znaczne skrócenie czasu budowy tak, że już w połowie 1955 roku odbędzie się w nowym gmachu pierwszy inauguracyjny koncert.

Państwo przeznaczyło na budowę bydgoskiej Filharmonii 2,5 miliona zł, a społeczeństwo bydgoskie zadeklarowało przeszło 20 tysięcy roboczo/godzin na prace pomocnicze przy niwelacji terenu.

o teatrze

O PRAWO DO FANTAZJI

upomina się w nr 23 „Nowej Kultury" Jerzy Pomianowski na marginesie recenzji z „Legendy o miłości" w Teatrze Nowej Warszawy. Autor przypomina niedawną niechęć do tematyki, a nawet motywów fantastycznych w teatrze Ta niechęć prowadziła właśnie do „wąskiego gardła" w repertuarze, wskutek czego nie widzieliśmy dotąd po wojnie „Fausta" ani „Gościa kamiennego" Puszkina, „Makbeta" ani komedii Arystofanesa.

„ŻOŁNIERZ KRÓLOWEJ MADAGASKARU"

„wesoła przygoda starowarszawska", opracowana przez J. Tuwima (muzycznie przez T. Sygietyńskiego) wg sztuki Dobrzańskiego, weszła na scenę Teatru „Syrena" przekształcającego się obecnie z estrady satyrycznej w teatr komedii. W reżyserii dyr. J. Warneckiego i oprawie plastycznej R. Nowickiego wodewil nabrał barw żywych aż do jaskrawości, a dzięki wplecionym aktualnym kupletom o Warszawie i Polskim nawiązywał do dawnego stylu scen ogródkowych. Aktorsko i... muzycznie przedstawienie nie było całkiem równe. Najwięcej nerwu wodewilu przejawili obok Ludwika Sempolińskiego w roli niezapomnianego Mazurkiewicza. Tadeusz Olsza (w trzech rolach) oraz H. Bielicka (Kamilla), St. Witas (Macki — senior) i St. Woliński (kamerdyner). Stronę taneczną interesująco opracował, szczególnie w scenie w ogródku „Arkadia", Feliks Parnell; kapelmistrz — Ryszard Damrosz.

PREMIERA PISARZA IRLANDZKIEGO W NRD

Berliński Deutsches Theater wystawia na scenie kameralnej wybitne dzieło czołowego dramatopisarza irlandzkiego Sean O'Casey'a pt. „Harfa i karabin". O'Casey, syn klasy robotniczej, bojownik o wolność swego kraju, ukazuje tu psychologię mieszczaństwa, lecz wprowadza również kontrastującą postać odważnej, młodej proletariuszki, padającej ofiarą faszystów. Reżyseria Rudolfa Wessely nie dość podkreśliła przejście od komedii krytyczno-społecznej do politycznej tragedii, od śmiechu do grozy. Znakomicie odtworzył postać przestraszonego, tchórzliwego mieszczanina Shieldsa — Gerhard Bienert. Prasa NRD z radością powitała nową premierę postępowego zachodniego pisarza.

SŁYNNY FRANCUSKI AKTOR MIMICZNY

Marcel Marceau, uczeń Ch. Dullina i Decroux, nawiązujący i do Charlie Chaplina, wystąpił w paryskim teatrze Renaissance z nowym programem, na który złożyły się pantomimy i dramaty mimiczne, m. in. „Szynel" wg Gogola i „Pierrot z Montmartre" oraz „Trzy peruki". Marceau osiągnął jako inscenizator i odtwórca pełnię wynalazczości i doskonałości technicznej. Gra równie dobrze z każdym partnerem jak z samym sobą. Za Decroux i Barraultem przywraca ponownie znaczenie gestowi, dążąc do pełni ludzkiej prawdy. Kiedy w scenie „Dawid i Goliat" zmienia w sekundzie całkowicie twarz i przedstawianą osobę, zdaje się przechodzić samego siebie i osiągać szczyty sztuki mimicznej. M. Beigbeder w „Les Lettres Françaises" pisze o wieczorze w Renaissance jako może najbardziej porywającym wieczorze teatralnym całego roku.

50-LECIE ŚMIERCI A. P. CZECHOWA

przypadające na 15 lipca, uczci zgodnie z uchwałą Światowej Rady Pokoju cały kulturalny świat. Przewodniczący odpowiedniego komitetu w ZSRR, pisarz K. Fiedin, zapowiedział m. in. nowe 12-tomowe wydanie pism niezależnie od wyborów i wydań częściowych. Przygotowuje się 30 nowych inscenizacyj sztuk, m. in. Teatr im. Wachtangowa oraz leningradzki im. Puszkina wystawią „Mewę". Ukaże się szereg filmów dokumentalnych o Czechowie oraz wg jego utworów. Nowe wystawy przygotowują muzea czechowowskie w Taganrogu, Melechowie, Jałcie, powstanie nowe w Moskwie. Wszechrosyjskie Towarzystwo Teatralne (WTO) zorganizuje sesję nt. „Czechowa i teatru radzieckiego", jesienią zaś — dyskusję nad nowymi inscenizacjami.

„Les Lettres Françaises" już wydały numer specjalny (519) zawierający fragmenty jego prozy oraz wspomnienia o nim Gorkiego i Awiłowej, jak i wypowiedzi krytyków radzieckich i dłuższe studia A. Wurmsera i E. Triolet, której przekłady dramatów Czechowa wyszły właśnie w Paryżu.

o wszystkim

„PIĘĆ WIEKÓW KULTURY OGÓLNOLUDZKIEJ"

Pod takim tytułem otwarto z okazji „Dni Oświaty" wystawę w centralnej bibliotece miejskiej im. L. Waryńskiego w Łodzi. Na wystawie zgromadzono rzadkie i cenne dzieła z różnych dziedzin nauki i sztuki. Szczególną uwagę zwracają prawdziwe skarby biblioteki — są to m. in. tzw. przedruki homograficzne ksiąg rękopiśmiennych późnego Średniowiecza, a wśród nich przedruki psałterza Puławskiego z XIV wieku oraz odbitki fotograficzne kroniki Galla i biblii Szaroszpatackiej królowej Zofii i inne cenne starodruki. Z dzieł epoki Odrodzenia wystawa zawiera m. in. pierwsze wydanie „Historii Polski" Kromera i Miechowity oraz dzieło Erazma z Rotterdamu „Przypowieści i Opowiadania" wydane w roku 1539.

LITERATURA POLSKA W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Wydawnictwo Literatury Obcej w Moskwie, które przygotowuje do druku tłumaczenia utworów współczesnych pisarzy całego świata, planuje m. in. wydanie w bieżącym roku szeregu książek autorów polskich.

W opracowaniu znajdują się: „Czerwona Rzeka" Żuławskiego, „Pamiątka z Celulozy" Newerlego, „Obywatele" Brandysa, „Węgiel" Ścibora-Rylskiego.

W tym roku wyjdą utwory wybrane polskich poetów. Pierwszy tom tego wydawnictwa obejmie poezję Tuwima, Broniewskiego, Iwaszkiewicza i Staffa. Wydanie drugiego tomu przewidziane jest na rok 1955. Wejdą do niego wiersze Ważyka, Putramenta, Woroszylskiego i Jastruna. Jeszcze w bież. roku ukaże się tom utworów wybranych Kruczkowskiego, na który złożą się „Kordian i Cham", „Pawie pióra" oraz dwa utwory dramatyczne — „Niemcy" i „Odwety". Również w opracowaniu znajduje się wybór opowiadań współczesnych polskich autorów.

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W wa, Marszałkowska 3/5. Zam. nr 1381 5-B-150071

Scena ze zrealizowanego w ub. roku przez Giuseppe De Santisa nowego filmu pt. „Mąż dla Anny Zaccheo". Jest to historia młodej, pięknej dziewczyny, Anny Zaccheo, która, mimo że wraz z rodziną żyje w opłakanych warunkach na jednym z przedmieść Neapolu, nie chce sprzedawać swojej urody. Jej ukochanym jest młody marynarz Andrea, ale na przeszkodzie do małżeństwa stoją ciężkie warunki materialne i kilku intrygujących panów z pieniędzmi. Na zdjęciu Anna (Silvana Pampanini) i Andrea (Massimo Girotti).

(Zdj. Unitalia-Film)